



MORGAN RICE

ARENA
JEDEN

KSIĘGA I TRILOGII O PRZETRWAŃNIU

Morgan Rice

Arena Jeden

Серия «Trylogii o Przetrwaniu», книга 1

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696367

Arena Jeden Księga 1 Trylogii o Przetrwaniu:

ISBN 9781632916969

Аннотация

W opowieści skupionej wokół dwóch odważnych nastolatków zdecydowanych przeciwstawić się wszelkim przeciwnościom losu, aby odzyskać swych bliskich, rozbrzmiewają echa IGRZYSK ŚMIERCI. Jednakże, prawdziwa siła opowieści tkwi nie tyle w opisie scenerii i wydarzeń, co w sposobie, w jaki bohaterowie uzewnętrzniają swe uczucia, przeżywają i kierują swoim życiem – i to tutaj ARENA JEDEN zaczyna odbiegać od tego, co przewidywalne i przechodzi w bardziej fascynujące sfery tego, co wiarygodne i potężne.. ARENA JEDEN kreuje wiarygodny, pasjonujący świat i jest zalecana.. tym, którzy lubią antyutopijne powieści, silne postacie kobiece oraz opowieści o niezwyklej odwadze. Midwest Book ReviewD. Donovan, eBook ReviewerBestseller Nr 1 na rynku! Nowy Jork. Rok dwa tysiące sto dwudziesty. Ameryka została zdziesiątkowana, starta z powierzchni ziemi w skutek drugiej wojny domowej. W tym post-apokaliptycznym świecie przeżyło naprawdę niewielu. Większość z tych, którzy rzeczywiście ocaleli, są członkami bestialskich gangów,

sępów żyjących w wielkich miastach. Patrolują okoliczne tereny w poszukiwaniu niewolników, nowych ofiar, które zwożą do miast na swe ulubione śmiertelne rozgrywki: na Arenę Jeden. Pole śmierci, na którym przeciwnicy zmuszani są do walki na śmierć i życie i to w najbardziej barbarzyński sposób. Obowiązuje tam tylko jedna zasada: nikt nie uchodzi stamtąd z życiem. Nigdy. Głęboko na pustkowiu, wysoko w górach Catskill, siedemnastoletniej Brooke Moore udaje się przeżyć i ukrywać wraz z Bree, jej młodszą siostrą. Starannie unikają gangów łowców niewolników patrolujących okoliczne tereny. Lecz pewnego dnia, Brooke nie zachowuje dotychczasowej ostrożności i Bree zostaje przez nich schwytana. Łowcy zabierają ją ze sobą do miasta, co może skończyć się tylko jej śmiercią. Brooke, córka oficera Piechoty Morskiej, wychowana na twardą i zahartowaną osobę, taką, która nigdy nie cofa się przed walką. Kiedy porywają jej siostrę, Brooke mobilizuje się, wykorzystując wszystko, co ma pod ręką, by ścigać łowców i odzyskać siostrę. Po drodze napotyka Bena, siedemnastolatka, który ocalał podobnie jak ona, a którego brata również porwano. Razem tworzą zespół, któremu przyświeca misja ratowania rodzeństwa. To, co dalej następuje, można określić jako post- apokaliptyczny, pełen wartkiej akcji thriller, w którym obydwójce ruszają za łowcami, biorąc udział w najniebezpieczniejszym pościgu swego życia, podążając za nimi do samego serca Nowego Jorku. Po drodze, aby przeżyć, będą musieli dokonać najtrudniejszych wyborów i poświęceń, na jakie ich stać, napotykając przeciwności, których żadne nigdy by się nie spodziewało – łącznie z nieoczekiwanym uczuciem, które zaczyna się między nimi rodzić. Czy uratują swoje rodzeństwo? Czy uda im się powrócić do domów? I czy będą musieli ponownie walczyć na arenie?Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło.. To historia o

zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę. Paranormal Romance Guild (komentarz dotyczący Przemienionej) – Muszę, przyznać, że przed ARENĄ JEDEN nigdy nie przeczytałem nic post-apokaliptycznego. Nigdy nie myślałem, że będzie to coś, co by mi się spodobało.. Cóż, byłem bardzo mile zaskoczony tym, jak wciągnęła mnie ta książka. ARENA JEDEN jest jedną z tych powieści, które czyta się do późnej nocy, aż do końca, bo nie można się od niej oderwać. Nie jest tajemnicą, że uwielbiam silne bohaterki.. Brooke była twarda, silna, nieugięta, i choć w książce jest miejsce na romans, Brooke nie podporządkowała mu swoich priorytetów. Gorąco polecam ARENĘ JEDEN. Dallas ExaminerARENA JEDEN stanowi pierwszą część Trylogii o Przetrwaniu, i liczy osiemdziesiąt pięć tysięcy słów. ARENA DWA, część druga cyklu, jest już również dostępna.

Содержание

CZEŚĆ I	17
JEDEN	17
DWA	41
TRZY	81
CZTERY	92
Конец ознакомительного фрагмента.	94

Morgan Rice

Arena Jeden Księga 1

Trylogii o Przetrwaniu

PRZEKŁAD: MICHAŁ GŁUSZAK

O autorce

Powieści Morgan Rice zajmują pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedających się książek w rankingu USA Today. Jest autorką bestsellerowej serii fantasy **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**, obejmującej siedemnaście części; bestsellerowej serii **WAMPIRZE DZIENNIKI**, obejmującej jedenaście części (kolejne w przygotowaniu); bestsellerowego cyklu **TRYLOGIA O PRZETRWANIU**, post-apokaliptycznego thrilleru obejmującego dwie części (kolejna w przygotowaniu); oraz najnowszej serii fantasy **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**, składającej się z sześciu części. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad dwudziestu pięciu językach.

Pisarka chętnie czyta wszelkie wiadomości od was.

Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie można dopisać swój adres do listy mailingowej, otrzymać bezpłatną książkę i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej informacje, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie.

Wybrane komentarze twórczości Morgan Rice

– W opowieści skupionej wokół dwóch odważnych nastolatków zdecydowanych przeciwstawić się wszelkim przeciwnościom losu, aby odzyskać swych bliskich, rozbrzmiewają echa IGRZYSK ŚMIERCI. Jednakże, prawdziwa siła opowieści tkwi nie tyle w opisie scenerii i wydarzeń, co w sposobie, w jaki bohaterowie uzewnętrzniają swe uczucia, przeżywają i kierują swoim życiem – i to tutaj ARENA JEDEN zaczyna odbiegać od tego, co przewidywalne i przechodzi w bardziej fascynujące sfery tego, co wiarygodne i potężne... ARENA JEDEN kreuje wiarygodny, pasjonujący świat i jest zalecana... tym, którzy lubią antyutopijne powieści, silne postacie kobiece, oraz opowieści o niezwykłej odwadze.

— Midwest Book Review

D. Donovan, eBook Reviewer

– Muszę przyznać, że przed ARENĄ JEDEN nigdy nie przeczytałem nic post-apokaliptycznego. Nigdy nie myślałem,

że będzie to coś, co by mi się spodobało.... Cóż, byłem bardzo mile zaskoczony tym, jak wciągająca była ta książka. ARENA JEDEN jest jedną z tych powieści, które czyta się do późnej nocy, aż do końca, bo nie można się od niej oderwać. Nie jest tajemnicą, że uwielbiam silne bohaterki... Brooke była twarda, silna, nieugięta, i choć w książce jest miejsce na romans, Brooke nie uzależniła od niego swoich priorytetów. Gorąco polecam ARENĘ JEDEN.

— Dallas Examiner

Powieści Morgan Rice

KORON I CHWAŁA

NIEWOLNIK, WOJOWNIK, KRÓLOWA (CZEŚĆ 1)

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ 1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ 2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ 3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ 4)

KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ 5)

NOC ŚMAŁKÓW (CZEŚĆ 6)

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

KINGS AND SORCERERS



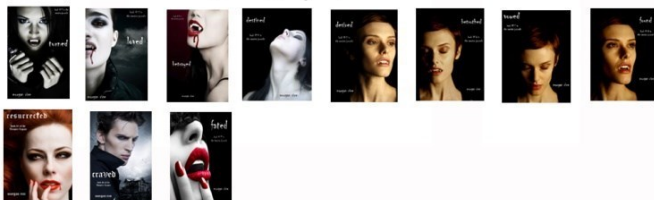
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



**Posłuchaj TRYLOGII O
PRZETRWANIU w formacie audio!**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Catskill Mountains

HUDSON

POUGHKEEPSIE

The island once known as
New York City

– *Gdybym był umarł godzinę
Przed tym wypadkiem, zamknąłbym był piękny
Okres Żywota. Nie ma od tej pory
Nic szanownego na tym świecie:*

– *Shakespeare, Makbet*

CZEŚĆ I

JEDEN

Większość dni bywa bardziej znośna. Dziś jednak wiatr siecze bez przerwy, zmiatając grudy śniegu z zasypanej sośniny wprost na moją twarz, kiedy tak wspinam się po górskiej ścianie. Moje stopy, wciśnięte w o jeden numer za małe pionierki, znikają w wysokim na sześć cali śniegu. Ześlizguję się i walczę o to, by odzyskać równowagę. Wiatr wieje w porywach. Jest tak zimny, że braknie mi tchu. Mam wrażenie, że zagłębiam się w żywą, śnieżną kulę.

Bree mówi, że jest grudzień. Lubi odliczać dni do Gwiazdki, zdrapując codziennie liczby na starym kalendarzu, który gdzieś znalazła. Robi to z takim entuzjazmem. Nie potrafię przemóc się i powiedzieć jej, że do grudnia jeszcze daleko. Nie powiem jej, że kalendarz ma już trzy lata, ani też, że nigdy nie zdobędziemy nowego, ponieważ przestali je produkować w dniu, kiedy skończył się świat. Nie pozbawię jej marzeń. Od tego właśnie są starsze siostry.

Bree i tak uparcie tkwi przy swych przekonaniach, od zawsze wierzy, że śnieg oznacza grudzień, a nawet gdybym jej powiedziała, wątpię, czy zmieniałaby zdanie. Takie już są dziesięciolatki.

Bree wciąż nie chce zauważyć, że zima przychodzi tu wcześniej. Jesteśmy wysoko w górach Catskill, gdzie czas płynie inaczej, gdzie pory roku mają inne granice. Tutaj, trzy godziny na północ od czegoś, co kiedyś było Nowym Jorkiem, liście opadają pod koniec sierpnia i leżą, rozsiane po całych górskich pasmach, jak daleko okiem sięgnąć.

Nasz kalendarz był kiedyś aktualny. Kiedy się tu pojawiliśmy trzy lata temu, pamiętam, jak zobaczyłam pierwszy śnieg i dotknęłam go z niedowierzaniem. Nie mogłam uwierzyć, że kalendarz wskazuje dopiero październik. Pomyślałam, że tak wczesny śnieg jest jakimś wybrykiem natury. Ale wkrótce przekonałam się, że nie. Te góry są po prostu na tyle wysokie, że zima rozkłada jesień na łopatki.

Gdyby Bree odwróciła kalendarz, zauważyłaby rok, stary rok napisany tandetnym stylem: dwa tysiące sto siedemnasty. Wyraźnie wskazujący przestarzałą o trzy lata datę. Powtarzam sobie, że najzwyczajniej jest zbyt podekscytowana, by uważniej to sprawdzić. Taką mam przynajmniej nadzieję. Ostatnio jednak zaczynam podejrzewać, że naprawdę o tym wie, ale postanowiła zatracić się w swoich fantazjach. Nie dziwię się jej.

Oczywiście od lat nie mieliśmy aktualnego kalendarza. Ani komórki, komputera, telewizji, radia, internetu, czy też jakiegokolwiek wytworu techniki – nie wspominając już o elektryczności, czy bieżącej wodzie. A mimo to, w jakiś sposób zdołałyśmy przetrwać, my obie, już trzy lata. Pora letnia jest znośna i tylko w nieliczne dni przymieramy głodem.

Przynajmniej możemy wtedy łowić ryby, a górskie potoki zdają się zawsze obfitować w łososia. Są też jagody, a nawet kilka sadów, w których jabłonie i grusze wciąż rodzą owoce, mimo upływu tylu lat. Raz na jakiś czas udaje się nam nawet złapać królika.

Lecz zimy są nie do zniesienia. Wszystko jest zamarznęte lub martwe i każdego roku mam wrażenie, że nie przetrwamy. A ta zima jest najgorsza ze wszystkich dotychczasowych. Powtarzam sobie, że wszystko minie; wiele dni minęło jednak od ostatniego porządnego posiłku, a jest to dopiero początek zimy. Głód osłabił nas obie i do tego Bree się rozchorowała. Nie wróży to nic dobrego.

Brnąc przez śnieg po tych samych pechowych śladach, które zostawiłam tu poprzedniego dnia, poszukując czegoś do jedzenia, zaczynam odnosić wrażenie, że nasze szczęście się skończyło. Tylko myśl o tym, że Bree leży i czeka w domu, ponagla mnie, by iść dalej. Przestaję uważać się nad sobą i zamiast tego skupiam się na wizerunku jej twarzy w moich myślach. Wiem, że nie mogę znaleźć lekarstwa, ale mam nadzieję, że to tylko tymczasowa gorączka, i że dobry posiłek i trochę ciepła wystarczą, by doszła do siebie.

Tak naprawdę to potrzebuje ogniska. Ale już go nie rozpalam; nie mogę ryzykować, że ktoś zobaczy dym, poczuje zapach, że ściągnę tu jakichś łowców niewolników. Ale dziś wieczór zrobię jej niespodziankę i tylko na chwilę zaryzykuję. Ognisko jest dla niej całym światem. Podniesie ją na duchu. I – jeśli tylko uda

mi się znaleźć na dokładkę coś do jedzenia – choćby takiego niewielkiego królika – to poprawi jej się całkowicie. I to nie tylko pod względem fizycznym. Zauważyłam, że zaczęła ostatnio tracić nadzieję – widzę to w jej oczach – a musi być silna. Nie będę siedziała i patrzyła, jak odchodzi, tak jak mama.

Czuję, jak kolejny podmuch wiatru chłosta moją twarz. Tym razem trwa to tak długo, jest tak przejmujące, że muszę pochylić głowę i czekać, aż minie. Wiatr wyje w moich uszach i zrobiłabym wszystko za prawdziwą zimową kurtkę. Mam na sobie jedynie znoszoną bluzę z kapturem, którą znalazłam przy drodze lata temu. Sądzę, że należała do jakiegoś chłopaka, ale to dobrze, ponieważ rękawy są wystarczająco długie, by zakryć dłonie i niemal zawinąć się wokół nich jak rękawiczki. Mierząc pięć stóp i sześć cali, nie jestem taka niska, a więc do kogokolwiek należała, musiał być wysoki. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle by go obeszło, że noszę jego rzeczy. Ale wówczas uświadamiam sobie, że prawdopodobnie już nie żyje. Tak jak wszyscy.

Moje spodnie również nie wyglądają najlepiej: nadal noszę tę samą parę dżinsów, którą, jak zauważam z zażenowaniem, miałam na sobie, kiedy uciekałyśmy z miasta lata temu. Jeśli w ogóle czegoś żałuję, to tego, że opuściłam je w takim pośpiechu. Chyba wydawało mi się, że tutaj znajdę jakieś ubranie, że może jakiś odzieżowy będzie tu otwarty, lub chociaż punkt Armii Zbawienia. Postąpiłam głupio: oczywiście wszystkie sklepy odzieżowe już dawno zostały splądrowane. Jakby w przeciągu

jednej nocy świat z dostatku wpadł w niedobór. Zdołałam znaleźć kilka sztuk odzieży pozostawionej w różnych szufladach w domu należącym do mojego taty. Dałam je Bree. Byłam szczęśliwa, że choć trochę z tego, jego termo-aktywna bielizna i skarpetki, zapewniało jej ciepło.

Wiatr w końcu ustaje. Podnoszę głowę i pospiesznie brnę dalej, zanim znów zawieje, forsując się w podwójnym tempie do chwili, kiedy docieram na płaskowyż.

Docieram na szczyt, ciężko oddychając. Moje nogi płoną. Rozglądam się powoli. Rosną tu nieliczne drzewa, a w oddali widnieje niewielkie górskie jezioro. Jest zamrożone, jak wszystkie inne. Od jego powierzchni bije słońce z taką siłą, że muszę zmrużyć oczy.

Natychmiast spoglądam na mają wędkę, którą zostawiłam tu poprzedniego dnia, zatkniętą między dwoma głazami. Wystaje nad jeziorem, a z jej końca zwisa długi sznurek biegnący wprost do niewielkiego przerębla. Jeśli jest wygięta, oznacza to, że razem z Bree zjemy dzisiaj obiad. Jeśli nie – będę wiedziała, że nie zadziałało – znowu. Biegnę wśród kępy drzew, po śniegu i przypatruję się dokładnie.

Jest prosta. A jakże.

Przepętnia mnie smutek. Rozważam wyjście na lód, by użyć niewielkiego toporka i wyrąbać przerębel w innym miejscu. Ale wiem już, że dużej różnicy to nie sprawi. Problem tkwi nie w jej umiejscowieniu – a w tym jeziorze. Ziemia jest zbyt zmarznięta, by móc wykopać z niej robaki, a nawet nie wiem, gdzie ich

szukać. Nie jestem urodzonym myśliwym, ani też traperem. Gdybym wiedziała, że skończę tutaj, poświęciłabym całe swoje dzieciństwo na kursy przetrwania i naukę technik survivalowych. Tymczasem teraz okazuje się, że jestem beznadziejna niemal we wszystkim, co robię. Nie potrafię zakładać pułapek, a na moje wędkę rzadko łapia się jakieś ryby.

Jak przystało na córkę żołnierza Piechoty Morskiej, jedyną rzeczą, w której jestem dobra jest umiejętność walki – ale ona nie przynosi tu żadnego pożytku. Może i nie radzę sobie zupełnie w królestwie zwierząt, za to potrafię rozprawić się z tymi dwunożnymi. Od najmłodszych lat, czy mi się to podobało, czy nie, tata nalegał, żebym była jego córką – córką żołnierza Piechoty Morskiej, abym była z tego dumna. Pragnął również, abym była mu synem, którego nigdy nie posiadał. Zapisał mnie na boks, zapasy, mieszane sztuki walki... nie było końca lekcjom o tym, jak używać noża, jak strzelać z broni, jak znaleźć punkty uciskowe, jak walczyć nieczysto. Najważniejsze było jednak to, iż nalegał, bym była twarda, nigdy nie okazywała strachu i nigdy nie płakała.

Jak na ironię, nigdy nie miałam szansy skorzystać choć z jednej z rzeczy, których mnie nauczył, a tu, w górach, mniej przydatne nie może to już być; nie ma nikogo w zasięgu wzroku. To, co naprawdę muszę wiedzieć, to w jaki sposób znajdować jedzenie – a nie jak kogoś kopać. I jeśli kiedykolwiek rzeczywiście napotkam kogokolwiek, nie mam zamiaru z nim walczyć, ale raczej prosić o pomoc.

Zastanawiam się mocno i przypominam sobie, że gdzieś tu leży jeszcze jedno jezioro, mniejsze; widziałam je już kiedyś, któregoś lata, kiedy jeszcze byłam śmiała i zapuszczałam się wyżej w góry. Droga prowadzi stromo w górę przez ćwierć mili. Nie próbowałam tam wejść od tamtej pory.

Podnoszę wzrok i wzdycham. Słońce schodzi już z nieboskłonu w ponurym, zimowym zachodzie skąpanym w odcieniach czerwieni, a ja jestem już słaba, zmęczona i zmarznięta. Samo zejście z góry pozbawi mnie większości sił, które mi jeszcze zostały. Wspinaczka jest ostatnią rzeczą, której teraz pragnę. Ale cichy głos wewnątrz pogania mnie, bym wspiwała się dalej. Im więcej czasu spędzam obecnie w samotności, tym silniejszy staje się głos taty w mojej głowie. Opieram się mu i chcę go zablokować, ale z jakiegoś powodu nie mogę.

Przestań lamentować i przyjdź dalej, Moore!

Tata zawsze lubił wołać do mnie po nazwisku. Moore. Wkurzało mnie to, ale on nic sobie z tego nie robił.

Jeśli teraz zawrócę, Bree nic dziś nie zje. To jezioro powyżej to najlepszy pomysł, jaki przychodzi mi do głowy, nasze jedyne, możliwe źródło pożywienia. Chcę też, aby Bree miała dziś ognisko, a całe drewno, które tu leży, jest przesiąknięte wilgocią. Tam powyżej, gdzie wieje silniejszy wiatr, może znajdę drewno wystarczająco suche na rozpałkę. Spoglądam jeszcze raz w górę i postanawiam, że spróbuję tam dotrzeć. Zwieszam głowę i zaczynam wspinaczkę, zabierając ze sobą wędkę.

Każdy krok przynosi ból, milion ostrych igiełek pulsujących w udach, a mroźne powietrze przeszywa mi płuca. Zrywa się wiatr i śnieg smaga mi twarz, niczym papier ścierny. Gdzieś w górze odzywa się krakanie ptaka, niby mnie przedrzeźniające. Kiedy czuję, że nie dam rady postawić kolejnego kroku, akurat docieram do następnego płaskowyzu.

Ten, położony tak wysoko, różni się od wszystkich pozostałych: porośnięty gęsto sosnami, utrudnia dostrzeżenie czegokolwiek w odległości ponad dziesięciu stóp. Niebo zasłaniają ogromne korony drzew, a śnieg upstrzony jest zielonymi igłami. Ogromne pnie drzew dają również osłonę przed wiatrem. Mam wrażenie, że weszłam do niewielkiego, ale własnego królestwa, ukrytego przed resztą świata.

Zatrzymuję się i obracam, chłonąc widoki: są zdumiewające. Zawsze sądziłam, że mamy wspaniałą widok z domu taty, położonego w połowie drogi na szczyt, ale tu, na górze, jest zjawiskowy. Wszędzie wznoszą się górskie szczyty, a za nimi, w oddali, dostrzegam nawet rzekę Hudson, iskrzącą się w słońcu. Widzę również kręte drogi, które przecinają stoki góry w zadziwiający sposób, całkiem nietknięte. Prawdopodobnie dlatego, że tak mało ludzi tu się w ogóle zapuszcza. Nigdy tak naprawdę nie widziałam tu samochodu, czy jakiegoś innego pojazdu. Mimo leżącego wszędzie śniegu, same drogi są czyste; strome, kręte trakty pławią się w słońcu, idealnie spełniając rolę odpływów i, co zadziwiające, większość śniegu rzeczywiście już stopniała.

Nagle odczuwam niepokój. Wolę, kiedy drogi pokrywa śnieg i lód, kiedy są nieprzejezdne, ponieważ jedynymi ludźmi, którzy dysponują obecnie samochodami i paliwem są łowcy niewolników – bezlitośni łowcy nagród, którzy zajmują się dostarczaniem zasobów dla Areny Jeden. Patrolują wszystkie okolice, szukając ocalałych, których porywają i sprowadzają na arenę w roli niewolników. Zgodnie z tym, co słyszałam, są tam zmuszani do walki na śmierć i życie ku uciesze widzów.

Razem z Bree miałyśmy szczęście. Nie widziałyśmy żadnych łowców, od kiedy tu przybyłyśmy lata temu – ale sądzę, iż tylko dlatego, że żyjemy wysoko w górach, w tak odległym miejscu. Tylko raz słyszałam piskliwy jęk silnika jakiegoś łowcy, hen w oddali, po drugiej stronie rzeki. Wiem, że są tam gdzieś w dole i patrolują. I nie ryzykuję – upewniam się, byśmy nie zwracały na siebie uwagi, z rzadka rozpalając ogień, chyba, że musimy. Mam też zawsze oko na Bree. Najczęściej zabieram ją ze sobą na polowanie – dziś również bym to zrobiła, gdyby nie była taka chora.

Odwracam się plecami do płaskowyżu i kieruję wzrok na mniejsze jezioro. Solidnie zamarznięte, błyszcząc w popołudniowym świetle, spoczywa tam niczym utracony klejnot, skrywając się za zagajnikiem. Podchodzę bliżej, stawiając kilka niepewnych kroków na lodzie, aby upewnić się, czy nie pęknie. Kiedy już czuję, że jest solidny, robię kolejne kroki. Znajduję odpowiednie miejsce, wyciągam zza pasa niewielki toporek i mocno rąbię lód kilka razy. Pojawia się pęknięcie.

Wyjmuję nóż, klękam na kolanie i uderzam mocno w sam środek szczeliny. Czubkiem noża wydłubuję niewielki otwór, wystarczająco jednak duży, by wydobyć przez niego rybę.

Pospiesznie wracam na brzeg, potykając się i ślizgając, po czym mocuję wędkę między dwiema gałęziami, rozwijam sznurek, biegnę z powrotem i wrzucam koniec do przerębla. Potrząsam nim kilkukrotnie z nadzieją, że odblask metalowego haczyka przyciągnie jakieś stworzenia żyjące pod lodową taflą. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że jest to daremny trud, ani podejrzeniu, iż wszystko, co kiedykolwiek żyło w tych górskich jeziorach, już dawno wymarło.

Tu, na górze, jest nawet jeszcze zimniej. Nie mogę tak po prostu stać, wpatrując się w żyłkę. Muszę się poruszać. Odwracam się i schodzę z jeziora. Ta przesądna część mojego ja podpowiada mi, że może złapię rybę, jeśli nie będę tam stać i się gapić. Chodzę wokół drzew, zataczając niewielkie kręgi, rozcierając ręce i starając się utrzymać ciepło. Na niewiele to się zdaje.

I wtedy przypominam sobie o suchym drewnie. Spuszczam wzrok i szukam rozpałki, ale na próżno. Ziemię pokrywa śnieg. Spoglądam w górę na drzewa i widzę, że ich pnie i gałęzie w większości również przykrywa śnieg. Jednak w oddali dostrzegam kilka smaganych wiatrem drzew pozbawionych śnieżnej otuliny. Przedzieram się do nich i sprawdzam korę, przesuwając dłoń po jej powierzchni. Z ulgą stwierdzam, że niektóre gałęzie są już wyschnięte. Wyciągam toporek i odrąbuję

jedną z tych większych. Potrzebuję jedynie naręcza drewna, a ta ogromna gałąź nada się idealnie. Łapię ją, kiedy odpada, nie dając jej uderzyć w śnieg. Potem opieram ją o pień i przecinam dokładnie w połowie. Robię to raz po raz do chwili, kiedy uzyskuję niewielki stos drewna, wystarczająco duży, by zmieścić go w swoich rękach. Kładę go obok, z dala od mokrego śniegu poniżej.

Rozglądam się wokół, sprawdzając pozostałe pnie, a kiedy przyglądam się bliżej, coś sprawia, że przystaję. Podchodzę do jednego drzewa, przypatrując się z uwagą, i uświadamiam sobie, że jego kora różni się od pozostałych. Podnoszę wzrok i uzmysławiam sobie, że to nie jest sosna; to klon. Jestem zdumiona obecnością klonu na tej wysokości, a jeszcze bardziej, kiedy widzę go tutaj. W gruncie rzeczy, klon jest prawdopodobnie jedynym drzewem w przyrodzie, które rzeczywiście potrafię rozpoznać. Wspomnienia powracają falami, mi na przekór.

Kiedyś, kiedy byłam młodsza, tata wbił sobie do głowy, że weźmie mnie na wycieczkę przyrodniczą. Sam Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale zabrał mnie ze sobą, by nacinać klony. Najpierw jechaliśmy godzinami do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka kraju, ja z metalowym wiadrem, a tata z dziobem. Potem spędziliśmy kolejne godziny na wałęsaniu się po lasach z przewodnikiem w poszukiwaniu idealnych klonów. Pamiętam wyraz rozczarowania na jego twarzy, kiedy naciął pierwsze drzewo i przezroczysty płyn spłynął do naszego wiadra.

Spodziewał się syropu.

Nasz przewodnik zaśmiał się z niego i powiedział, że klon nie produkuje syropu, tylko sok. Sok zamienia się w syrop podczas gotowania. Jak twierdził, proces ten zabiera kilka godzin. Z około osiemdziesięciu galonów soku powstaje zaledwie kwarta syropu.

Tata spojrział na wypełnione sokiem wiadro i cały poczerwieniał, jakby kto właśnie wcisnął mu niezły kit. Nie spotkałam dotąd nikogo równie dumnego. Jeśli w ogóle istniało coś, czego nienawidził bardziej niż czuć się głupio, to było to wyśmiewanie się z niego. Kiedy tamten mężczyzna roześmiał się na głos, tata rzucił w niego wiadrem, niemal w niego trafiając, po czym chwycił moją dłoń i pospiesznie odmaszerował.

Nigdy więcej nie zabrał mnie na łono natury.

Nie przejęłam się tym jednak – w sumie podobała mi się ta wycieczka, pomimo tego, że przez całą powrotną drogę wściekał się w milczeniu. Zdołałam zebrać niewielką ilość soku, zanim zabrał mnie stamtąd i pamiętam, że popijałam w tajemnicy w drodze do domu, gdy nie widział. Był cudowny. Smakował, niczym posłodzona woda.

Stojąc tu teraz przed tym drzewem, rozpoznaję klon jak własnego bliźniaka. Ten gatunek, znajdujący się tak wysoko w górach, wygląda niepozornie, wręcz mizernie. Byłabym zaskoczona, gdyby zawierał w sobie jakikolwiek sok. Ale nie mam nic do stracenia. Wydobywam nóż i wbijam go w drzewo, raz po raz w to samo miejsce. Potem zagłębiam ostrze w otworze

coraz dalej, obracając je i wyginając. Naprawdę nie oczekuję jakiegoś efektu.

Jestem zszokowana, kiedy wycieka na zewnątrz kropla soku. Jestem jeszcze bardziej zdumiona, kiedy kropla zamienia się w niewielką, sączącą się strużkę. Wyciągam palec, dotykam jej i podnoszę, kładąc na język. Czuję krzepiący cukier i natychmiast rozpoznaję ten smak. Dokładnie taki sam, jaki pamiętam. Nie wierzę.

Sok zaczyna płynąć szybciej i tracę większość, gdyż spływa po korze. Rozglądam się rozpaczliwie w poszukiwaniu czegokolwiek, w co mogłabym go zebrać, jakiegoś wiaderka – ale oczywiście nie ma tu niczego takiego. I wtedy przypominam sobie: mój termos. Wyciągam plastikowy termos z za pasa i odwracam go do góry nogami, opróżniając go z wody. Mogę ją znaleźć gdziekolwiek, zwłaszcza kiedy jest tu tyle śniegu wkoło – a ten sok jest zbyt cenny. Przytrzymuję termos przy drzewie, żałując, że nie posiada odpowiedniego wlotu. Przyciskam plastik do kory najbliżej jak tylko można i udaje mi się zebrać większość soku. Płyne wolniej niż bym tego chciała, ale w kilka minut udaje mi się napełnić termos do połowy.

Strumień soku ustaje. Czekam kilka sekund, zastanawiając się, czy sok pocieknie jeszcze raz, ale na próżno.

Rozglądam się i dostrzegam kolejny klon, około dziesięć stóp dalej. Podbiegam szybko, podnoszą nóż podekscytowana i tym razem wbijam go mocno, widząc już oczami wyobraźni, jak napełniam termos do korka i wyraz zdumienia na twarzy Bree,

kiedy go smakuje. Może i nie jest pożywny, ale z pewnością ją rozweseli.

Tym razem jednak, kiedy mój nóż wbija się w pień, rozlega się ostry odgłos rozłupywania, którego się nie spodziewałam, a zaraz potem skrzypienie drzewa. Podnoszę wzrok i widzę, jak całe drzewo zaczyna się przechylać i uświadamiam sobie, zbyt późno, że zmarznięte i okryte lodową powłoką, od dawna jest martwe. Uderzenie mojego noża wystarczyło, by je powalić.

Chwilę później całe drzewo, długie przynajmniej na dwadzieścia stóp, przewraca się na ziemię. Wzbija potężny obłok śniegu i sosnowych igieł. Kucam cała podenerwowana, iż mogłam zdradzić tym swoją obecność. Jestem wściekła na siebie. To było nieostrożne. Głupie. Powinnam najpierw porządnie przyjrzeć się temu drzewu.

Jednak po kilku minutach moje serce uspokaja się i uświadamiam sobie, że nie ma tu nikogo. Z powrotem zaczynam racjonalnie myśleć, zdaję sobie sprawę, że drzewa same z siebie wciąż przewracają się w każdym lesie i, że upadek tego niekoniecznie musiał wydać obecność człowieka. Kiedy spoglądam na miejsce, w którym kiedyś stało to drzewo, uświadamiam sobie coś z opóźnioną reakcją. Patrzę z niedowierzaniem.

Oto w oddali, schowana za kępą drzew, wbudowana bezpośrednio w górskie zbocze, stoi niewielka kamienna chata. Jest maleńka, zbudowana na planie idealnego kwadratu, ma około piętnastu stóp szerokości i głębokości oraz dwanaście

stóp wysokości, a jej mury zbudowane zostały z dawnych bloków skalnych. Na dachu wznosi się niewielki komin, a w ścianach osadzono niewielkie okna. Drewniane drzwi wejściowe w kształcie łuku stoją otworem, nieco uchylone.

Mała chata jest na tyle dobrze zakamuflowana, tak idealnie zlewa się z otoczeniem, że nawet spoglądając wprost na nią, ledwie potrafię odróżnić ją od tła. Jej dach i ściany pokrywa śnieg, a widoczne skalne fragmenty idealnie wkomponowują się w krajobraz. Chata wygląda staro, jakby zbudowano ją setki lat temu. Nie mogę pojąć, co ona tu robi, kto miałby ją zbudować, ani w jakim celu. Być może mieszkał tu dozorca parku. A może był to dom jakiegoś samotnika. Lub też survivalowego maniaka.

Sprawia wrażenie, jakby od lat nikt w niej nie przebywał. Uważnie lustruję leśną ściółkę w poszukiwaniu jakichś śladów, odcisków zwierząt. Ale nie zauważam niczego. Wracam pamięcią do chwili, kiedy zaczął padać śnieg, kilka dni temu, i w myślach wykonuję obliczenia. Nikt nie wchodził, ani nie wychodził stamtąd od przynajmniej trzech dni.

Serce zaczyna mi mocniej bić na myśl o tym, co mogę znaleźć w środku. Jedzenie, ubranie, lekarstwa, broń, materiały – wszystko będzie darem niebios.

Ostrożnie pokonuję polanę, zerkając co chwila ponad ramieniem, by upewnić się, że nikt mnie nie obserwuje. Poruszam się szybko, pozostawiając za sobą wielkie, rzucające się w oczy ślady w śniegu. Kiedy docieram do drzwi, odwracam się i sprawdzam jeszcze raz, po czym stoję tak i czekam

przez kilka sekund, nasłuchując. Nie słyszę żadnego dźwięku poza odgłosem wiatru i pobliskiego strumienia, który przepływa zaledwie kilka stóp od wejścia do domu. Wyciągam dłoń i uderzam mocno trzonkiem toporka w drzwi, wywołując głośny, niosący się echem hałas, dając w ten sposób ostatnie ostrzeżenie jakimkolwiek zwierzętom, które mogą skrywać się wewnątrz domostwa.

Nie otrzymuję żadnej odpowiedzi.

Szybko otwieram drzwi, odpychając śnieg i wchodzę do środka.

Jest ciemno. Wnętrze rozświetlają jedynie ostatnie promienie słońca wpadające tu przez niewielkie okna i dopiero po chwili mój wzrok przyzwyczaja się do panującego mroku. Czekam, stojąc oparta plecami o drzwi, w gotowości na wypadek gdyby jakieś zwierzę używało chaty, jako swego schronienia. Ale po kilku kolejnych minutach mój wzrok przystosowuje się w pełni do słabego światła i stwierdzam, że jestem najwyraźniej sama.

Pierwszą rzeczą, na którą zwracam uwagę w tym niewielkim domu, jest panujące tu ciepło. Jest tak może dlatego, iż wnętrze jest niewielkie, ma niski sufit i zostało wyciosane bezpośrednio w górskim zboczu; a może dlatego, że jest osłonięte przed wiatrem. Mimo, że okna są szeroko otwarte, wystawiając wnętrze na łaskę żywiołów oraz że drzwi są wciąż uchylone, musi tu być przynajmniej o piętnaście stopni cieplej – znacznie cieplej niż kiedykolwiek w domu taty, nawet przy palącym się ogniu. Jednakże, na co należałoby najpierw zwrócić uwagę,

domek taty został zbudowany jak najtaniej, ze ścianami grubości kartki papieru, winylowym deskowaniem, i położony na zboczu wzgórza, które zwykle zdaje się leżeć bezpośrednio na drodze wiatru.

To miejsce różni się jednak całkowicie. Kamienne ściany są grube i solidnie zbudowane. Czuję, że jest tu przytulnie i bezpiecznie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak ciepło mogłoby tu być, gdybym zamknęła drzwi, zabiła okna deskami i rozpałała ogień w kominku – który zdaje się być w dobrym stanie.

Wnętrze składa się z jednego wielkiego pokoju. Spoglądam spod przymrużonych powiek, przeczesując wzrokiem podłogę w poszukiwaniu czegokolwiek, jakiegokolwiek rzeczy, którą mogłabym zabrać ze sobą. O dziwo, miejsce to wygląda, jakby od czasu wojny nikt tu nie zaglądał. Co drugi dom, które już widziałam, miał powybijane okna, wszędzie leżał gruz, i najwyraźniej ogołocoło je ze wszystkiego użytecznego, włącznie z instalacją elektryczną. Ten jednak nie. Jest nieskazitelny, czysty i wysprzątany, jakby jego właściciel któregoś dnia wstał z łóżka i wyszedł. Zastanawiam się, czy nie było to aby jeszcze, zanim wojna się zaczęła. Sądząc po pajęczynach na suficie i niewiarygodnym wręcz położeniu, świetnym ukryciu za drzewami, zgaduję, że właśnie tak było. I że nie było tu nikogo od wielu lat.

Dostrzegam zarys jakiegoś przedmiotu na tle odległej ściany i podchodzę do niego z wyciągniętymi przed sobą rękoma, brnąc po omacku. Kiedy moje dłonie dotykają go, uświadamiam sobie,

że to komoda. Przesuwam palce po jej gładkiej, drewnianej powierzchni i czuję pokrywający ją kurz. Przesuwam palce po niewielkich gąłkach – uchwytach szuflad. Delikatnie pociągam, otwierając każdą po kolei. Jest zbyt ciemno, by widzieć cokolwiek, więc sięgam dłonią do każdej i przeczesuję wnętrze. Pierwsza nic nie zawiera. Druga również. Otwieram je wszystkie szybko z coraz słabszą nadzieją – kiedy nagle, przy piątej szufladzie, przystaję. Wyczuwam coś w jej końcu, z tyłu. Wyjmuję to powoli.

Podnoszę do światła i najpierw nie rozpoznaję, ale potem czuję charakterystyczną, aluminiową folię i zdaję sobie sprawę, co to: tabliczka czekolady. Ktoś odgryzł już kilka kawałków, ale reszta wciąż owinięta jest w oryginalną folię i dobrze zachowana. Odwijam niewielki kawałek, podsuwam pod nos i wącham. Nie mogę w to uwierzyć: prawdziwa czekolada. Nie jedliśmy jej od wojny.

Jej zapach wywołuje ostre bóle głodowe i tylko dzięki całej sile woli powstrzymuję się przed rozerwaniem opakowania i pożarciem jej w całości. Zmuszam się, by pozostać silną, ostrożnie owijam czekoladę z powrotem w folię i chowam do kieszeni. Poczekam, aż będę z Bree, by się nią uraczyć. Uśmiecham się, wyobrażając sobie wyraz jej twarzy, kiedy weźmie pierwszy kęs. Bezcenne.

Szybko przetrząsam pozostałe szuflady z nową nadzieją, że znajdę jakieś skarby. Ale wszystkie okazują się puste. Odwracam się i przemierzam pokój wzdłuż i wszerz, przy ścianach i we

wszystkich czterech kątach, szukając dosłownie czegokolwiek. Ale pomieszczenie jest puste.

Nagle wchodzę na coś miękkiego. Schylam się i to podnoszę do światła. Jestem zdumiona: pluszowy miś. Jest już podniszczony i brakuje mu jednego oka, ale mimo to, Bree uwielbia misie i tęskni za tym, którego zostawiła w domu. Będzie zachwycona na widok tego. Wygląda na to, że dziś jest jej szczęśliwy dzień.

Wciskam misia za pas i kiedy się podnoszę, czuję, jak moja dłoń przesuwa się po czymś miękkim na podłodze. Chwytam to i podnoszę, i z przyjemnością stwierdzam, że to szalik. Jest czarny i zakurzony. Dlatego nie dostrzegłam go w mroku. Kiedy przykładam go do szyi i torsu, od razu czuję ciepło. Wywieszam go na zewnątrz przez okno i mocno potrząsam, otrzepując z całego kurzu. Oglądam go w świetle: jest długi i gruby – i nie ma nawet jednej dziury. Żywe złoto. Od razu owijam nim szyję i wciskam pod koszulę, czując natychmiastowe ciepło. Kicham.

Słońce właśnie zachodzi, a ponieważ zdaje się, że znalazłam tu wszystko, co było do znalezienia, wychodzę. Kiedy zwracam się ku drzwiom, nagle uderzam w coś twardego, metalowego, palcem u nogi. Zatrzymuję się i klękam, szukając tego dotykiem z myślą, iż jest to broń. Niestety. Jest to okrągły, metalowy uchwyt przymocowany do drewnianej podłogi. Coś jak kołatka. Lub kłamka.

Ciągnę to w lewo i prawo. Nic. Próbuję przekręcić. Nic. Wówczas ryzykuję, staję obok i ciągnę mocno w górę.

Podnosi się kłapa w podłodze, wzbijając obłok kurzu.

Zaglądam do środka i dostrzegam wnękę, wysoką na jakieś cztery stopy, o ziemistym podłożu. Serce przyspiesza na myśl o wszystkich możliwościach. Gdybyśmy tu mieszkali i wpadły w jakieś tarapaty, mogłabym ukryć tutaj Bree. Ta niewielka chata zyskuje jeszcze więcej na wartości w moich oczach.

I to nie tylko ze względu na skrytkę. Kiedy spoglądam w dół, zauważam coś błyszczącego. Odpycham ciężką kłapę do tyłu i szybko schodzę po drabince. Panuje tu całkowity mrok. Wyciągam ręce przed siebie i błędzę po omacku. Robię krok i coś wyczuwam. Szkło. Do ściany przymocowane są półki, na których poustawiano szklane słoiki. Przetwory.

Zdejmuję jeden i podnoszę do światła. Zawartość jest czerwona i miękka. Wygląda na dżem. Szybko odkręcam blaszane wieko i podsuwam pod nos, wachając. Gryzący zapach malin uderza mnie niczym grom z jasnego nieba. Wtykam palec do środka, nabieram trochę i niepewnie kładę na język. Nie wierzę: dżem malinowy. I smakuje jakby został wczoraj usmażony.

Szybko zakręcam pokrywkę, wciskam dżem do kieszeni i pośpiesznie wracam do półek. Wyciągam rękę i wyczuwam całe tuziny ukrytych w mroku słoików. Chwytam najbliższy i wracam do światła. Podnoszę do góry. Wygląda na pikle.

Nie mogę wyjść z podziwu. To miejsce to kopalnia złota.

Chciałabym zabrać ze sobą wszystko, ale dłonie mi zamarzają. Nie mam jak tego ze sobą ponieść, a na zewnątrz

zapada noc. Odkładam więc słoń z piklami z powrotem tam, gdzie go znalazłam, wdrapuję się po drabinie i zamknąwszy porządnie klapę za sobą, idę do drzwi. Żałuję, że nie mam kłódki; boję się zostawić to wszystko tam na dole bez jakiegokolwiek zabezpieczenia. Ale wówczas przypominam sobie, że nikt nie zaglądał tu od wielu lat – i że prawdopodobnie sama nie zauważyłabym go, gdyby tamto drzewo się nie przewróciło.

Wychodząc na zewnątrz, zamykam za sobą drzwi, czując, że powinnam strzec tego miejsca, czując, jakby to już był nasz dom.

Z pełnymi kieszeniami wracam pospiesznie nad jezioro – ale nagle zamieram, wyczuwszy jakiś ruch i usłyszawszy hałas. Na początku martwię się, że ktoś za mną przyszedł; ale kiedy odwracam się powoli, widzę coś innego. Stoi przede mną, jakies dziesięć stóp dalej, jeleni i przygląda mi się. To pierwszy jeleni, jakiego widzę od lat. Jego ogromne, czarne oczy wpatrują się w moje, po czym jeleni odwraca się i rzuca do ucieczki.

Brak mi słów. Spędziłam całe miesiące na poszukiwaniu jelenia, mając nadzieję, że podejde na tyle blisko, by cisnąć w niego nożem. Ale nigdy na żadnego nie trafiłam, nigdzie. Może nie polowałam wystarczająco wysoko. Może żyją tu na górze cały czas.

Postanawiam tu wrócić, z samego rana, i czekać cały dzień, jeśli będzie trzeba. Jeśli pojawił się tu raz, może wróci tu jeszcze. Następnym razem, kiedy go zobaczę, zabiję go. Wystarczyłby nam na wiele tygodni.

Kiedy wracam pospiesznie nad jezioro, odżywa we mnie nadzieja. Podchodzę do wędki, sprawdzam ją i serce zaczyna bić zwawiej. Jest w połowie wygięta. Drżąc z podekscytowania, gnam po lodzie, ślizgając się co chwilę. Chwytam żyłkę, która wykręca się gwałtownie, i modłę się, by wytrzymała.

Sięgam niżej i ciągnę zdecydowanie. Czuję siłę, z jaką opiera się duża ryba i w milczeniu modłę się, by żyłka nie pękła, by haczyk się nie złamał. Szarpnię jeszcze jeden, ostatni raz i ryba wyskakuje z przerębla. Okazuje się, że to ogromny łosoś rozmiarem równy mojej ręce. Łąduje na lodzie i rzuca się na wszystkie strony, ślizgając się po powierzchni. Podbiegam i wyciągam dłoń, by go złapać, ale wyslizguje się i z powrotem pada na lód. Moje dłonie są zbyt śliskie, by go złapać, więc opuszczam rękawy, pochylam się i łapię go, tym razem bardziej zdecydowanie. Rzuca się i wykręca w moich dłoniach przez dobre trzydzieści sekund, po czym, w końcu, zwisa beładnie, martwy.

Jestem zdumiona. To moja pierwsza zdobycz od wielu miesięcy.

Jestem uszczęśliwiona. Ślizgając się po lodzie, kładę ją na brzeg i przykrywam śniegiem. Boję się, że w jakiś sposób wróci do życia i wskoczy z powrotem do jeziora. Zdejmuję wędkę z żyłką i trzymam je w jednej dłoni, a drugą chwytam rybę. Czuję słoik z dżemem w jednej kieszeni i termos z sokiem w drugiej, razem z wciśniętą obok tabliczką czekolady, oraz pluszowego misia przy talii. Bree będzie cieszyć się dziś obfitością darów.

Została jeszcze tylko jedna rzecz do zabrania. Podchodzę do sterty suchego drewna opieram wędkę o ramię i wolną dłoń podnoszę tyle szczap, ile uniosę. Kilka upuszczam. Nie mogę zabrać tylu, ile bym chciała, ale nie narzekam. Zawsze mogę wrócić tu rano po resztę.

Mając pełne dłonie, ręce i kieszenie, ześlizguję się po stromym górskim zboczu przy ostatnich promieniach słońca, uważając, aby nie upuścić niczego z moich skarbów. Brnąc dalej, mimowolnie wracam myślami do chaty. Jest idealna, a moje serce bije mocniej, kiedy przychodzą mi do głowy wszelkie perspektywy. Dokładnie tego nam trzeba. Domek taty stoi zbyt na widoku, zbudowany tuż przy głównej drodze. Martwię się tym już od wielu miesięcy. Jesteśmy tam zbyt narażone na niebezpieczeństwo. Wystarczyłby jeden, przypadkowo przejeżdżający tędy łowca niewolników i miałybyśmy kłopoty. Dawno już chciałam się przeprowadzić, ale nie miałam pojęcia dokąd. Nie ma tu już innych domów.

Ta niewielka chata, położona tak wysoko, tak daleko od drogi – i dosłownie wbudowana w górę – jest tak bardzo zakamuflowana, jakby została wybudowana specjalnie dla nas. Nikt nigdy nie byłby w stanie nas tam znaleźć. A nawet jeśli, nie mogliby dotrzeć w pobliże nas jakimkolwiek pojazdem. Musieliby wspinać się na piechotę, a mając tak dobry widok z chaty, dostrzegłabym ich z oddali całej mili.

Dom wyposażony jest również we własne źródło świeżej wody, strumyk, który przepływa tuż pod drzwiami wejściowymi.

Nie musiałabym zostawiać Bree samej za każdym razem, kiedy idę się wykąpać lub wyprać nasze ubrania. I nie musiałabym nosić wiader z wodą z odległego jeziora, kiedy przygotowuję posiłek. Nie wspominając już o tym, że dzięki rozległym koronom drzew, byłybyśmy wystarczająco ukryte, by rozpałać ogień w kominku każdego wieczoru. Byłoby nam bezpieczniej i cieplej. Byłybyśmy w miejscu obfitującym w ryby i dziką zwierzynę – i wyposażonym w piwnicę pełną jedzenia. Jestem już zdecydowana. Zamierzam przeprowadzić się tu jutro razem z Bree.

Czuję, jakby zdjęto mi wielki ciężar z ramion. Czuję się jak nowo narodzona. Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu nie czuję dokuczliwego głodu, nie czuję zimna przeszywającego ciało. Nawet wiatr zdaje się wiać w plecy, kiedy schodzę niżej, pomagając mi niejako. Wiem, że wszystko nareszcie odwróciło się na naszą korzyść. Po raz pierwszy, od kiedy sięgam pamięcią wiem, że teraz nam się uda.

Teraz przetrwamy.

DWA

Kiedy w końcu docieram do domu taty, jest już zmierzch, temperatura szybko spada, śnieg twardnieje, zaczyna skrzypieć pod stopami. Wychodzę z lasu i widzę przed sobą nasz dom usadowiony tak bardzo na widoku, przy drodze. Odczuwam ulgę widząc, że wszystko wygląda spokojnie, dokładnie tak samo, jak zostawiłam. Natychmiast sprawdzam śnieg w poszukiwaniu jakichś ludzkich śladów – czy też zwierzęcych – gdziekolwiek i nie znajduję żadnych.

Wewnątrz nie palą się żadne światła, ale to normalne. Zanepokoiłabym się, gdyby było inaczej. Nie mamy prądu i światło oznaczałoby, że Bree zapaliła świece – a beze mnie nie zrobiłaby tego. Zatrzymuję się i nasłuchuję przez kilka sekund, ale panuje spokój. Żadnych odgłosów walki, żadnego wołania o pomoc, ani okrzyków powodowanych chorobą. Oddycham z ulgą.

Zawsze obawiam się, że wrócę i znajdę szeroko otwarte drzwi, rozbite okna, ślady wiodące do domu i że Bree została uprowadzona. Już kilka razy śnił mi się ten koszmar. Wówczas zawsze budzę się obłana potem i idę do drugiego pokoju upewnić się, że Bree tam jest. I zawsze jest, cała i zdrowa, a ja ganię samą siebie. Wiem, że powinnam przestać martwić się po tych wszystkich latach. Ale z jakiegoś powodu nie mogę otrząsnąć się z tego: za każdym razem, kiedy muszę zostawić Bree samą,

odczuwam to jak nóż wbity w serce.

Wciąż mając się na baczności, zwracając uwagę na wszystko dokoła, lustruję nasz dom w przygasającym świetle dnia. Szczerze, ten dom od samego początku nie był miłym miejscem. Jako część typowego, górskiego rancza, dom przypomina prostokątne pudło bez jakiegokolwiek stylu, ozdobione tanim, winylowym deskowaniem wyglądającym staro od pierwszego dnia, a w tej chwili po prostu zbutwiałym. Okna są niewielkie, rzadko porozmieszczane i zrobione z taniego plastiku. Budynek wygląda jak wyjęty z kempingu. Mierząc około piętnaście stóp szerokości i trzydzieści stóp głębokości, dom powinien tak naprawdę być jednopokojowy, ale ktokolwiek go zbudował, w swej mądrości zaplanował tu dwie niewielkie sypialnie i jeszcze mniejszy salon.

Pamiętam, jak odwiedzałam go będąc dzieckiem, przed wojną, kiedy świat był jeszcze normalny. Tata, kiedy był w domu, przywoził nas tu na weekendy, by odetchnąć od miasta. Nie chciałam być niewdzięczna i zawsze przybierałam przed nim dobrą minę, ale w skrytości ducha nigdy nie podobało mi się tutaj. Miejsce to zawsze sprawiało wrażenie ciemnego i ciasnego i zalatywało stęchlizną. Jako dziecko, pamiętam, nie mogłam doczekać się, aż skończy się weekend, by uciec stąd jak najdalej. Pamiętam, że po cichu przyrzekałam sobie, iż nigdy tu nie wrócę, kiedy będę starsza.

Teraz, jak na ironię, jestem wdzięczna, że mamy ten dom. Ocalił mi życie – i Bree również. Kiedy wybuchła

wojna, musiałyśmy uciekać z miasta i nie miałyśmy wyboru. Gdyby nie to miejsce. Nie wiem, gdzie byśmy się podziały. A gdyby nie to, że to miejsce było tak odległe i wysoko położone, prawdopodobnie dawno już zostałybyśmy schwytane przez łowców niewolników. Zdumiewające, jak będąc dzieckiem można nienawidzić różnych rzeczy, które doceniasz dopiero w wieku dorosłym. Cóż, prawie dorosłym. W każdym razie, mając siedemnaście lat, uważam, że jestem już dorosła. Prawdopodobnie postarzałam się bardziej niż większość z nich w tych ostatnich latach.

Gdyby ten dom nie został zbudowany tuż przy drodze, na widoku, gdyby był choć trochę mniejszy, lepiej osłonięty, położony głębiej w lesie, sądzę, że nie martwiłabym się aż tak bardzo. Oczywiście, i tak musiałybyśmy przywyknąć do ścian grubości papieru, dziurawego dachu i okien przepuszczających wiatr. Nigdy nie byłby to ciepły, czy też wygodny dom. Ale przynajmniej byłby bezpieczny. Teraz, za każdym razem, kiedy na niego patrzę, kiedy obejmuję wzrokiem rozciągający się za nim widok, nie potrafię powstrzymać się od myśli, że to łatwy cel.

Moje stopy skrzypią na śniegu, kiedy podchodzę do winylowych drzwi, a ze środka dochodzi szczekanie. Sasha robi to, czego ją nauczyłam: strzeże Bree. Jestem jej taka wdzięczna. Czuwa nad Bree uważnie, szczeka, gdy usłyszy najmniejszy dźwięk; dzięki niej mogę spokojnie zostawić Bree i polować. Chociaż jednocześnie jej szczekanie czasami mnie

martwi. Boję się, że nas wyda: jakby nie było, szczekający pies zazwyczaj wiąże się z obecnością ludzi. I właśnie tego dźwięku nasłuchiwałyby każdy łowca niewolników.

Pospiesznie wchodzę do domu i ją uciszam. Zamykam za sobą drzwi, zonglując szczapami w dłoni, i wchodzę do ciemnego pokoju. Sasha milknie i machając ogonem, skacze wokół mnie. Nasz labrador o czekoladowym ubarwieniu ma sześć lat i jest najbardziej oddanym psem, jakiego mogłabym sobie wymarzyć – i najlepszym towarzyszem. Gdyby nie ona, myślę, że Bree już dawno popadłaby w depresję. Ja pewnie też.

Sasha liże moją twarz, skomląc, wydając się bardziej podekscytowaną niż zazwyczaj; obwąchuje moja talię, kieszenie, wyczuwając natychmiast, że tym razem przyniosłam do domu coś wyjątkowego. Odkładam szczapy na podłogę, by ją pogłaskać i kiedy to robię, czuję jej zębra. Jest zbyt wychudzona. Kolejny raz ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Chociaż z drugiej strony, Bree i ja również jesteśmy chude. Zawsze dzielimy się z nią każdym naszym posiłkiem, tak, że we trójkę stanowimy drużynę równych sobie. A mimo to żałuję, że nie mogę dać jej więcej.

Przystawia nos do ryby i w tym momencie ryba wyślizguje się z mojej dłoni i spada na ziemię. Sasha rzuca się na nią natychmiast i próbuje złapać pazurami, przesuwaną po podłodze. Skacze na nią znowu, tym razem starając się ją ugryźć. Ale smak surowej ryby musi nie przypaść jej do gustu, więc wypuszcza ją z pyska. Zamiast tego bawi się nią, skacząc na nią

raz po raz, kiedy ta cała czas ślizga się po podłodze.

– Przestań, Sasha! – mówię po cichu, nie chcąc obudzić Bree. Boję się też, że jeśli pobawi się nią zbyt długo, to rozerwie ją i zmarnuje wartościowe mięso. Sasha posłusznie uspokaja się. Widzę jednak, jak bardzo jest podekscytowana i pragnę dać jej już cokolwiek. Sięgam do kieszeni, odkręcam blaszaną zakrętkę słoika, nabieram palcem trochę malinowego dżemu i wystawiam jej pod nos.

W ułamku sekundy zaczyna lizać mój palec i po trzech machnięciach językiem cała porcja dżemu znika. Oblizuje usta i wpatruje się we mnie szeroko otartymi ślepiami, chcąc więcej.

Głaszczę ją po łbie, całuję ją, potem wstaję na nogi. Zastanawiam się teraz, czy postąpiłam dobrze dając jej trochę, czy też okrutnie, dając jej tak niewiele.

Dom ginie w ciemnościach, jak zwykle nocą, a ja idę dalej, potykając się co chwilę. Rzadko rozpalam ogień. Choć potrzebujemy ciepła, nie chcę zwracać niczyjej uwagi. Ale tej nocy jest inaczej. Bree musi dojść do siebie, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, i wiem, że ogień załatwi sprawę. Jestem też bardziej skłonna zignorować ryzyko, zważywszy na to, że jutro wyprowadzimy się stąd.

Przechodzę przez pokój do kredensu i wydaję zapalniczkę i świecę. Jedną z najlepszych rzeczy, jakie te miejsce miało do zaoferowania, był ogromny zapas świec, jeden z nielicznych, choć wspaniałych ubocznych efektów tego, iż mój tata był w piechocie morskiej i miał bzika na punkcie sztuki przetrwania.

Kiedy przyjeżdżaliśmy tu jako dzieci, każda burza oznaczała brak prądu, tak więc gromadził zapasy świec zdecydowany wyjść naprzeciw żywiołom. Pamiętam, że wyśmiewałam się z niego z tego powodu, przezywałam go chomikiem, kiedy odkryłam szafę pełną świec. Teraz, kiedy zostało mi już niewiele, żałuję, że nie zachomikował ich więcej.

Utrzymuję naszą jedyną zapalniczkę na chodzie dzięki temu, że używam jej z rzadka i raz na kilka tygodni spuszczam niewielką ilość benzyny z motocykla taty. Każdego dnia dziękuję za niego Bogu. Jestem też wdzięczna, że tata napełnił bak, kiedy ostatni raz go używał: to jedyna rzecz, która pozwala mi myśleć, że wciąż mamy jakąś przewagę, że posiadamy coś naprawdę wartościowego, jakiś sposób na przeżycie, jeśli wszystko diabli wezmą. Tata przetrzymywał motocykl w niewielkim, przydomowym garażu, ale kiedy pierwszy raz tu przyjechaliśmy po wojnie, pierwsze, co zrobiłam, to wyprowadziłam go stamtąd i wtoczyłam na wzgórze, do lasu, chowając go pod gęstą płataniną krzaków, gałęzi i ciernistych krzewów, żeby nikt nigdy go nie znalazł. Pomyślałam wtedy, że jeśli kiedykolwiek ktoś znajdzie nasz dom, pierwszą rzeczą, którą zrobią, będzie sprawdzenie garażu.

Dziękuję też Bogu, że tata nauczył mnie jak na nim jeździć, kiedy byłam młodsza, pomimo protestów mamy. Nauka była trudniejsza niż w przypadku większości motocykli ze względu na dołączoną przyczepę. Wracam wspomnieniami do chwili, kiedy miałam dwanaście lat i przerażona uczyłam się jeździć,

podczas gdy tata siedział w przyczepie, wyrzaskując polecenia za każdym razem, kiedy gasł mi silnik. Uczyłam się jeździć po tych stromych, bezlitosnych górskich drogach i pamiętam, że miałam wrażenie, jakbyśmy mieli za chwilę umrzeć. Pamiętam, jak patrzyłam na przepaść za krawędzią i płakałam, błagając tatę, by poprowadził. Ale on odmawiał. Siedział tam uparcie przez ponad godzinę do momentu, kiedy w końcu przestałam płakać i próbowałam powtórnie. I jakoś nauczyłam się jeździć. Tak, krótko mówiąc, przedstawiało się moje wychowanie.

Nie tknęłam motoru od dnia, w którym go ukryłam i nawet nie ryzykuję, by tam iść i popatrzeć, z wyjątkiem chwil, kiedy muszę spuścić benzynę – a nawet to robię w nocy. Tak sobie myślę, że jeśli kiedyś wpadniemy w tarapaty i będziemy musiały szybko opuścić to miejsce, wsadzę Bree i Saszę do przyczepy i razem bezpiecznie stąd odjedziemy. Jednak tak naprawdę nie wiem, dokąd miałybyśmy pojechać. Z tego, co widziałam i słyszałam, reszta świata zamieniła się w pustynię rojącą się od kryminalistów, gangów i nielicznych ocalałych. Garstka tych bardziej agresywnych, którzy zdołali przeżyć, skupiła się w miastach, porywając i wpędzając w niewolę każdego, kogo znajdują, dla własnych korzyści, bądź też by obsadzić rozgrywki na śmierć toczone na arenach. Przypuszczam, że razem z Bree należymy do tych nielicznych, którzy przetrwali i żyją na wolności, na własną rękę, poza murami miast. Do tej garstki, która nie umarła jeszcze z głodu.

Zapalam świecę. Sasha podąża za mną przez ciemny dom.

Zakładam, że Bree śpi i to mnie martwi: normalnie nie śpi tak dużo. Zatrzymuję się przed jej drzwiami i zastanawiam, czy ją obudzić. Kiedy tak stoję, podnoszę wzrok i z zaskoczeniem dostrzegam swoje odbicie w niewielkim lustrze. Wyglądam na o wiele starszą, za każdym zresztą razem, kiedy się widzę. Moja twarz, szczupła i koścista, jest zarumieniona od zimna. Moje jasnobrązowe włosy opadają na ramiona, opływając wokół twarzy, a stalowoszare oczy wpatrują się we mnie jakby należały do kogoś, kogo nie mogę rozpoznać. Spoglądają hardo, wnikliwie. Tata zawsze twierdził, że to oczy wilka. Mama mówiła, że są piękne. Nie byłam pewna, komu wierzyć.

Szybko odwracam wzrok, nie chcąc patrzeć na siebie. Wyciągam rękę i obracam lustro, aby to już nigdy się nie powtórzyło.

Powoli otwieram drzwi do pokoju Bree. W tej samej sekundzie do środka wpada Sasha, kładzie się przy Bree, łeb opiera na jej klatce piersiowej i liże ją po twarzy. Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać to, w jak bliskich są relacjach – czasami odnoszę wrażenie, że Bree łączy bardziej zażyła więź z Sashą, niż ze mną.

Bree powoli otwiera oczy i mruży powieki w mroku.

– Brooke? – pyta.

– To ja – mówię cicho. – Wróciłam.

Siada na łóżku i uśmiecha się, a jej oczy błyszczą z podekscytowania. Leży na tanim materacu na podłodze. Zrzuca z siebie cienki koc i próbuje wstać, będąc nadal w piżamie.

Porusza się wolniej niż zazwyczaj.

Pochylam się i ściskam ją.

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówię, ledwie zdolna powstrzymać swoje emocje.

Podnosi wzrok i patrzy szeroko otwartymi oczyma, po czym zamyka je i wystawia dłonie, czekając. Jest taka ufna, pełna wiary, aż mnie zadziwia. Zastanawiam się, co dać jej najpierw, po czym decyduję się na czekoladę. Sięgam do kieszeni, wyciągam tabliczkę i powoli kładę jej na dłoni. Otwiera oczy i spogląda, mrużąc oczy w słabym świetle, niepewna, co to jest. Przybliżam świecę do czekolady.

– Co to? – pyta.

– Czekolada – odpowiadam.

Podnosi wzrok, jakby sądziła, że robię jej psikusa.

– Poważnie – mówię.

– Ale skąd ją masz? – pyta, nie mogąc tego pojąć. Spogląda w dół z miną, jakby właśnie na jej dłoni wylądowała asteroida. Nie dziwię się: nie ma już żadnych sklepów, żadnych ludzi w pobliżu, ani żadnego miejsca w odległości stu mil, w którym mogłabym znaleźć coś takiego.

Uśmiecham się do niej. – Dostałam ją od świętego Mikołaja, dla ciebie. Taki wcześniejszy prezent z okazji Bożego Narodzenia.

Marszczy brwi

– A tak *naprawdę*? – nalega.

Nabieram głęboko powietrza, uświadamiając sobie, że

nadeszła chwila, by powiedzieć jej o naszym nowym domu, o tym, że jutro stąd odchodzimy. Staram się wymyślić, jak najlepiej przekazać jej te wieści. Mam nadzieję, że będzie równie podekscytowana, co ja – ale z dziećmi nigdy niewiadomo. Martwię się też, że może być przywiązana do tego miejsca i nie zechce go opuścić.

– Bree, mam wspaniałą nowinę – mówię, nachylając się i chwytając jej ramiona. – Odkryłam dziś zdumiewające miejsce, wysoko w górach. To niewielka, kamienna chata, która idealnie nadaje się dla nas. Jest przytulna, ciepła i bezpieczna, i ma przepiękny kominek, w którym co wieczór możemy rozpałać ogień. A najlepsze jest to, że jest tam mnóstwo różnorakiego jedzenia. Jak ta czekolada.

Bree spogląda z powrotem na czekoladę, przypatruje się jej bacznie, a jej oczy otwierają się dwukrotnie szerzej, kiedy w końcu uzmysławia sobie, że jest prawdziwa. Ostrożnie odwija opakowanie i wacha ją. Zamyka oczy i uśmiecha się, po czym nachyla się, by ugryźć kawałek. – ale nagle zatrzymuje się. Spogląda na mnie z troską.

– A ty? – pyta. – Mamy tylko jedną?

Taka już jest Bree, zawsze taktowna, nawet wówczas, kiedy przymiera głodem. – Ty pierwsza – mówię. – W porządku.

Odwija opakowanie i odgryza wielki kawałek. Jej twarz, wychudzona z głodu, rozplywa się w zachwycie.

– Jedz powoli – ostrzegam ją. – Nie chcesz przecież, by rozboleł cię brzuch.

Przeżuwa wolniej, delektując się każdym gryzem. Odłamuje wielki kawałek i kładzie go na mojej dłoni.

– Twoja kolej – mówi.

Powoli wkładam do ust i odgryzam niewielką część, pozwalając, by spoczęła na czubku języka. Zaczynam ssać, potem powoli przeżuwam, upajając się każdą chwilą. Smak i zapach czekolady wypełniają moje zmysły. Całkiem prawdopodobne, iż jest to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam.

Sasha skomle, przepychając nos w pobliże czekolady i Bree odłamuje kawał i podaje jej. Sasha wrywa go z jej palców i połyka w całości. Bree śmieje się, jak zwykle zachwycona reakcją Sashy. Potem, okazując imponującą powściągliwość, zawija pozostałą część czekolady, połowę, sięga wysoko i rozsądnie odkłada ją na garderobę, poza zasięgiem Sashy. Wygląda wciąż słabo, ale widzę, że wraca jej dobry nastrój.

– Co to? – pyta, wskazując na moja talię.

Przez chwilę nie rozumiem, o czym mówi, potem spuszczam wzrok i zauważam misia. W całym tym rozemocjonowaniu prawie o nim zapomniałam. Sięgam po niego i podaję Bree.

– Znalazłam go w naszym nowym domu – mówię. – Jest dla ciebie.

Oczy Bree otwierają się szeroko z emocji. Chwyta misia, przytula do siebie i zaczyna kołysać.

– Jest cudowny! – wykrzykuje z błyszczącymi oczyma. – Kiedy się przeprowadzimy? Nie mogę się doczekać!

Ulżyło mi. Zanim mam czas zareagować, Sasha nachyla się i przywiera nosem do misia Bree, obwąchując go; Bree pociera nim jej pysk żartobliwie, a Sasha chwyta go zębami i wybiega z pokoju.

– Hej! – krzyczy Bree, wybuchając histerycznym śmiechem i zaczyna ją gonić.

Obie wbiegają do salonu pogrążone w zażartej rywalizacji o misia. Nie jestem pewna, komu sprawia to większą przyjemność.

Idę w ich ślady, osłaniając płomień świecy dłonią, by nie zgasła i podchodzę z nią do sterty z rozpałką. Ustawiam kilka mniejszych gałązek w kominku, potem dorzucam garść suchych liści z koszyka stojącego nieopodal. Dobrze, że nazbierałam ich jesienią, by mieć czym rozpalać w kominku. Działają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Umieszczam je pod gałązkami, zapalam i wkrótce pierwsze płomienie liżą drewno. Dokładam coraz więcej liści, aż w końcu ogień obejmuje całe gałęzie. Zdmuchuję świecę, zachowując ją na inną okazję.

– Będziemy mieć ognisko? – krzyczy podekscytowana Bree.

– Tak – odpowiadam. – Dziś mamy święto. To nasza ostatnia noc tutaj.

– Jejku! – krzyczy Bree, skacząc raz po raz i Sasha dołącza do niej, szczekając z przejęciem. Bree podbiega do drewna, chwyta trochę i pomaga mi ułożyć w kominku. Dokładamy ostrożnie, by zapewnić dostęp powietrza, a Bree dmucha na ogień, podsycając płomienie. Kiedy podpałka zajmuje się ogniem, nakładam na nią grubszą szczapę. Układam stertę z większych szczap, aż w końcu

ogień huczy, aż miło.

Po chwili cały pokój zalewa światło i zaczynam czuć promieniujące od ognia ciepło. Stajemy przy nim. Wyciągam i rozcieram dłonie, pozwalając, by ciepło przenikało moje palce. Powoli odzyskuję w nich czucie. Zaczynam stopniowo odtając po całonocnym pobycie na dworze i na powrót dochodzić do siebie.

– Co to? – pyta Bree, wskazując na podłogę. – Wygląda, jak ryba!

Podbiega, chwyta ją i podnosi, a ryba wyślizguje się natychmiast z jej dłoni. Bree wybucha śmiechem. Sasha, nie tracąc ani sekundy, skacze na rybę czterema łapami i ta wystrzeliwuje spod niej, ślizgając się po podłodze.

– Gdzie ją złapałaś? – wykrzykuje Bree.

Podnoszę rybę zanim Sasha zdąży wyrządzić więcej szkód, otwieram drzwi i wyrzucam ją na zewnątrz, w śnieg, gdzie przechowa się lepiej w bezpiecznym miejscu, po czym zamykam drzwi.

– To moja druga niespodzianka – mówię. – Zjemy dzisiaj obiad!

Bree podbiega do mnie i ściska mnie mocno. Sasha szczeka, jakby wszystko rozumiała. Odwzajemniam uścisk Bree.

– Mam jeszcze dwie niespodzianki – oznajmiam z uśmiechem. – Są na deser. Chcesz poczekać, aż zjemy obiad, czy wolisz teraz?

– Teraz! – krzyczy cała podekscytowana.

Uśmiecham się równie rozemocjonowana. Przynajmniej wytrzyma dzięki temu do obiadu.

Sięgam do kieszeni i wyjmuję słoik z dżemem. Bree spogląda na niego ze śmieszną miną, najwyraźniej niepewna, co to. Odkręcam pokrywkę i podsuwam jej słoik pod nos.

– Zamknij oczy – mówię.

Zamyka.

– A teraz powąchaj.

Wdycha powietrze głęboko i jej twarz rozjaśnia uśmiech. Otwiera oczy.

– Pachnie jak maliny! – wykrzykuje.

– To dżem. No, dalej. Spróbuj.

Bree sięga do środka dwoma palcami, nabiera dużą porcję i podaje Sashy, która podbiega i bez wahania połyka wszystko na raz. Bree wybucha histerycznym śmiechem, a ja zakręcam pokrywkę i kładę słoik wysoko na kominku, z dala od Sashy.

– Czy to też jest z naszego nowego domu? – pyta.

Kiwam głową, czując ulgę, kiedy słyszę, że Bree już traktuje chatę jak nasz nowy dom.

– Została jeszcze jedna niespodzianka – mówię. – Ale tę zostawię na obiad.

Wyjmuję zza pasa termos i kładę na kominek, poza zasięgiem jej wzroku, tak, aby nie widziała, co to. Widzę, jak wykręca się, ale ukrywam go dobrze.

– Zaufaj mi – mówię. – To dobre.



Nie chcę, żeby dom zalatywał rybą i postanawiam stawić czoło zimnicy i przygotować łososia poza domem. Chwytam nóż i zabieram się do pracy, opierając rybę o pniak i kłękając tuż obok w śniegu. Nie wiem tak naprawdę, co robić, ale wiem wystarczająco, by zdawać sobie sprawę, że głowa i ogon są niejadalne. Zaczynam więc od odcięcia tych części.

Potem przychodzi mi do głowy, że płetw również nie zjemy, więc te również odrąbuję – ani też łusek, więc usuwam je, starając się robić to jak najlepiej. Później przychodzi mi na myśl, że aby ją zjeść, należy ją otworzyć, zatem przecinam to, co pozostało idealnie na pół. Pojawia się tłusty, różowy środek pełen niewielkich ości. Nie wiem, co innego mogłabym jeszcze zrobić, więc zakładam, że ryba jest gotowa do ugotowania.

Przed powrotem do domu odczuwam potrzebę umycia rąk. Sięgam po prostu w dół, nabieram śnieg w dłonie i czyszczę ręce, dziękując Bogu za śnieg – zazwyczaj muszę iść do najbliższego strumyka, ponieważ nie mamy bieżącej wody. Podnoszę się i przed powrotem do domu zatrzymuję na chwilę, by rzucić okiem na otoczenie. Najpierw nasłuchuję, jak zwykle, starając się wyłowić jakiś dźwięk, oznakę niebezpieczeństwa. Po kilku sekundach uświadamiam sobie, że panujący spokój nie mógłby już być bardziej niezmacony. W końcu, z wolna, rozluźniam się, głęboko wdycham powietrze, czuję płatki śniegu na swoich

policzkach, napawam się idealną ciszą i uzmysławiam sobie, jak nieskończenie piękny jest otaczający mnie świat. Strzeliste sosny nikną w bieli, purpurowe niebo zsyła bezustanny śnieg i wszystko wydaje się idealne, jak w bajce. Ogień w kominku rozżarza okna poświata i z miejsca, w którym stoję, nasz dom wygląda, jak najprzytulniejsze miejsce na ziemi.

Wracam do domu z rybą i zamykam za sobą drzwi. Miło jest wejść gdzieś, gdzie jest o wiele cieplej, gdzie łagodne światło rzucone przez ogień odbija się od wszystkiego wokół. Bree dobrze dba o ogień, jak zwykle zresztą, dorzucając szczapy po mistrzowsku i w tej chwili ogień huczy i sięga jeszcze wyżej. Przygotowuje nakrycia do posiłku na podłodze, zaraz przy kominku, zabrawszy noże i widelce z kuchni. Sasha siedzi przy niej, uważnie obserwując każdy jej ruch.

Podchodzę z rybą do ognia. Nie wiem tak naprawdę, jak ją sporządzić, więc myślę sobie, że potrzymam ją nad ogniem przez chwilę, by się podpiekła, obróczę kilka razy i mam nadzieję, że to wystarczy. Bree czyta mi w myślach: natychmiast idzie do kuchni i wraca z ostrym nożem i dwoma długimi szpikulcami. Nadziewa obie części ryby, po czym bierze swoją porcję i trzyma nad płomieniem. Idę w jej ślady. Domatorski instynkt Bree zawsze przewyższał moje zdolności. Jestem jej wdzięczna za pomoc. Zawsze stanowiłyśmy zgrany zespół.

Obie stoimy tak, wpatrując się w płomienie, jak sparaliżowane, trzymając swoje kawałki ryby nad ogniem do chwili, aż ręce zaczynają nam ciążyć. Pokój wypełnia się

zapachem ryby i po około dziesięciu minutach głód skręca mi kiszki i zaczynam się niecierpliwic z tego powodu. Decyduję, że moja jest już gotowa; przecież ludzie czasami też jedzą surową rybę, zatem nie może być aż tak zła. Bree zdaje się zgadzać ze mną, więc kładziemy swoje porcje na talerze, siadamy na podłodze tuż obok siebie, opierając się plecami o kanapę i kładąc stopy przy ogniu.

– Ostrożnie – ostrzegam ją. – W środku nadal jest pełno ości.

Wyciągam je i Bree robi to samo. Kiedy już pozbywam się ich wystarczająco dużo, biorę kawałek różowego rybiego mięsa, gorącego w dotyku, i wkładam do ust, przygotowując się na najgorsze.

W zasadzie smakuje przyzwyczajenie. Przydałaby się sól albo jakiegoś rodzaju przyprawy, ale przynajmniej smakuje na ugotowane i świeże. Czuję, jak niezbędne do życia białko wnika w moje ciało. Bree również pożera swoją część i natychmiast dostrzegam wyraz ulgi na jej twarzy. Sasha siedzi przy niej, wlepiając w nią ślepią, oblizując wargi. Bree wybiera duży kawałek, ostrożnie usuwa ości i podaje go Sashy. Ta przeżuwa go dokładnie i połyka, po czym oblizuje mordkę i ponownie wpatruje się w Bree, chcąc więcej.

– Sasha, masz – mówię.

Podbiega do mnie. Biorę skrawek ryby, usuwam ości i karmię ją; Sasha połyka rybę w ułamku sekundy. Zanim się spostrzegam, mojej ryby – jak i Bree – już nie ma. Ze zdumieniem stwierdzam, że wciąż burczy mi w brzuchu. Żałuję

od razu, że nie złościłam więcej. Mimo wszystko, nie mieliśmy bardziej sowego posiłku od tygodni, więc siłą woli zmuszam się, by być zadowoloną z tego, co mamy.

Wtedy przypominam sobie o soku. Zrywam się na nogi, zdejmuję termos i podaję go Bree.

– Śmiało – uśmiecham się – pierwszy łyk należy do ciebie.

– Co to? – pyta, odkręcając go i podstawiając pod nos. – W ogóle nie pachnie.

– To sok z klonu – wyjaśniam. – Smakuje jak posłodzona woda. Tylko lepiej.

Ostrożnie wypija łyczek, po czym spogląda na mnie z oczami szeroko otwartymi z zachwytem.

– To jest pyszne! – wykrzykuje. Wypija kilka kolejnych dużych łyków, po czym przystaje i wręcza mi. Nie potrafię oprzeć się i również biorę kilka dużych łyków. Czuję krzepiący wpływ cukru. Nachylam się i ostrożnie wlewam trochę do miski Sashy. Wychłęptuje wszystko do ostatniej kropli i wydaje się, że jej również smakuje.

Mimo to wciąż padam z głodu. W rzadkim przypiływie słabości przychodzi mi na myśl słoik dżemu i myślę sobie, czemu nie? Przecież, jak mniemam, jest tego o wiele więcej w chacie na górskim szczycie – a jeśli ta noc nie jest odpowiednia, by świętować, to kiedy indziej?

Zdejmuję słoje, odkręcam pokrywkę, wkładam palec i nabieram wielką porcję. Kładę ją na język i pozwalam, by jak najdłużej rozpuszczał się w ustach, zanim w końcu ją

połykam. Smakuje bosko. Podaję Bree słój z resztą dżemu, wciąż wypełnionym do połowy.

– No, śmiało – mówię – dojedz do końca. W naszym nowym domu jest tego więcej.

Bree otwiera oczy szeroko i sięga po słój.

– Jesteś pewna? – pyta. – Nie powinniśmy zachować go na później?

Potrząsam głową.

– Czas pozwolić sobie na przyjemności.

Nie potrzebuje więcej zachęty. W kilka chwil wyjada wszystko, zostawiając jedynie ostatnią porcję dla Sashy.

Leżymy oparte o kanapę, ze stopami przy kominku, i nareszcie czuję, jak moje ciało się rozluźnia. Po rybie, soku i dżemie nareszcie czuję, że z wolna wracają mi siły. Oglądam się na Bree, która już przysypia z łbem Sashy na kolanach i choć wciąż wygląda na chorą, po raz pierwszy od jakiegoś czasu dostrzegam w jej oczach nadzieję.

– Kocham cię, Brooke – mówi cicho.

– Ja ciebie też – odpowiadam.

Lecz kiedy oglądam się na nią, Bree śpi już w najlepsze.

*

Bree leży na kanapie naprzeciw kominka, ja natomiast siedzę w fotelu obok niej. To taki nasz zwyczaj, do którego przez te wszystkie miesiące nawykliśmy. Każdego wieczoru przed

pójsciem spać, Bree zwija się w kłębek, zbyt przerażona, by zasnąć sama w swoim pokoju. Dotrzymuję jej towarzystwa do chwili, kiedy zasypia i potem zanoszę ją do łóżka. Najczęściej nie mamy ognia, ale i tak tu siedzimy.

Bree zawsze śnią się koszmary. Kiedyś tak nie było. Pamiętam, jak jeszcze przed wojną łatwo zasypiała. W gruncie rzeczy, nawet drażniłam się z nią z tego powodu, przezywałam „zasypialska Bree”, gdyż zasypiała w samochodzie, na kanapie, czytając książkę na fotelu – dosłownie wszędzie. Teraz jednak w żadnej mierze nie przypomina jej z tamtych czasów; teraz przesiaduje godzinami i jeśli śpi, to bardzo niespokojnie. W nocy często słyszę, jak pojękuje lub krzyczy za cienkimi ścianami. Któż mógłby ją winić? Będąc świadkiem tego całego horroru, dziw, że nie popadła w zupełny obłąd. Ja sama nie przesypiam zbyt wielu nocy.

Jedyną rzeczą, która pomaga jej zasnąć, jest czytanie. Na szczęście, kiedy uciekałyśmy, Bree wykazała się przytomnością umysłu i chwyciła swoją ulubioną książkę, *Drzewo darów*. Czytam ją jej każdego wieczoru. Znam już ją na pamięć i kiedy jestem zmęczona, po prostu zamykam oczy i recytuję z pamięci. Na szczęście, nie jest obszerna.

Odchylam się w fotelu i, sama będąc śpiącą, przewracam zniszczoną okładkę i zaczynam czytać. Sasha leży na kanapie przy Bree z podniesionymi uszami. Czasami zastanawiam się, czy ona również nie słucha.

„Pewnego razu było sobie drzewo, które kochało małego

chłopczyka. Chłopczyk przychodził do drzewa codziennie i z jego liści splatał sobie wieńce na głowę, udając leśnego króla.”

Spoglądam na Bree i widzę, że śpi już mocno. Czuję ulgę. Może to przez ogień, a może przez posiłek. Właśnie snu potrzeba jej teraz jak najwięcej, by wydobrzcć. Zdejmuję swój nowy szal owinięty ciasno wokół szyi, i delikatnie przykrywam nim ramiona Bree. W końcu jej niewielkie ciało przestaje się trząść.

Dokładam ostatnią szczapę do ognia, siadam w fotelu i odwracam głowę, wpatrując się w płomienie. Obserwuję, jak powoli zamierają i żałuję, że nie przyniosłam więcej drewna. Ale i tak jest dobrze. W ten sposób będzie bardziej bezpiecznie.

Szczapa trzaska i pęka, a ja rozsiadam się i czuję zrelaksowana, jak nigdy od wielu lat. Czasami, kiedy Bree już zaśnie, biorę moją książkę i czytam. Widzę ją teraz tam na półce: *Władcę Much*. To jedyna książka, jaka mi pozostała. Jest tak zniszczona od używania, że wygląda, jakby miała ze sto lat. Dziwne to uczucie, kiedy ma się jedną, jedyną książkę na całym świecie. Sprawia, że uzmysławiam sobie, jak wiele rzeczy uważamy za coś oczywistego; że usycham z tęsknoty za czasem, kiedy jeszcze istniały biblioteki.

Dziś wieczór jestem jednak zbyt podekscytowana, by czytać. W głowie kłębią się nieustannie myśli o jutrze, o naszym nowym życiu wysoko na górze. Wciąż wertuję w myślach wszystko to, co będę musiała przetransportować stąd do chaty i jak to zrobię. Najpierw nasze podstawowe rzeczy – sprzęt, zapalki, to, co zostało z zapasu świec, koce i materace. Poza tym, co

tu dużo mówić, żadna z nas nie ma zbyt dużo odzieży, a poza książkami nie posiadamy nic naprawdę osobistego. Ten dom był goły już w chwili, kiedy tu przybyliśmy, więc nie ma tu żadnych pamiątek. Chciałabym przenieść kanapę i fotel, choć do tego będzie mi potrzebna pomoc Bree. Będę musiała z tym poczekać, aż Bree poczuje się lepiej. Będziemy musiały zrobić to etapami, zabierając najpierw najpotrzebniejsze rzeczy i zostawiając meble na sam koniec. Ale w porządku; tak długo, jak będziemy tam w górze bezpieczne. To liczy się najbardziej.

Zaczynam rozmyślać o wszystkich sposobach, jak uczynić tę chatę jeszcze bardziej bezpieczną. Z pewnością będę musiała zastanowić się nad jakimiś okiennicami, by zamknąć okna, kiedy zajdzie taka potrzeba. Rozglądam się po naszym domu w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłabym wykorzystać. By okiennice działały sprawnie, potrzebne będą zawiasy. Dostrzegam je przy drzwiach do salonu. Być może dam radę je wymontować. A w międzyczasie, może użyję też drewnianych drzwi, przepiłowując je na kawałki.

Im więcej się rozglądam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak wiele rzeczy mogę ze sobą zabrać. Przypominam sobie, że tata pozostawił w garażu skrzynię z narzędziami, a w niej piłę, młotek, śrubokręt, a nawet pudełko gwoździ. To jedna z najcenniejszych rzeczy, jaką posiadamy i odnotowuję sobie w pamięci, aby zabrać je na pierwszym miejscu.

Oczywiście, po motocyklu. On dominuje w moich planach: kiedy go przetransportować i jak. Nie mogę znieść myśli o

pozostawieniu go tutaj, nawet przez jedną minutę. Tak więc zabiorę go ze sobą w trakcie naszej pierwszej wspinaczki. Nie mogę ryzykować odpalenia silnika. To przyciągnęłoby zbyt dużo uwagi – a poza tym, zbocze góry jest za strome, by wjechać na nie motorem. Będę musiała go prowadzić, wprost pod górę. Już czuję, jakie to będzie wyczerpujące, zwłaszcza ze względu na śnieg. Ale nie widzę innego sposobu. Gdyby Bree nie była chora, mogłaby mi pomóc, lecz w jej obecnym stanie nie może nic dźwigać – podejrzewam, że będę musiała nawet i ją przenieść. Zdaję sobie sprawę, że nie mamy wyboru i musimy czekać do jutrzejszego wieczoru, by wyruszyć pod osłoną mroku. Może po prostu wpadam w paranoję – szanse na to, że ktoś nas zobaczy, są nikłe, ale mimo to, lepiej zachować ostrożność. Zwłaszcza, że są tu inni ocalali. Wiem o tym. Jestem tego pewna.

Pamiętam pierwszy dzień, kiedy tu przyjechałyśmy. Obie byłyśmy przerażone, samotne i wyczerpane. Tej pierwszej nocy obie poszłyśmy głodne spać. Zastanawiałam się wtedy, jak w ogóle mamy przetrwać. Czy popełniłyśmy błąd, opuszczając Manhattan, porzucając mamę i wszystko, co znałyśmy?

A potem, w nasz pierwszy poranek, obudziłam się, otworzyłam drzwi i doznałam szoku, zobaczywszy leżące przede mną truchło jelenia. Najpierw byłam przerażona. Wzięłam je za groźbę, ostrzeżenie, przypuszczając, że ktoś kazał nam w ten sposób odejść, że nie byłyśmy tu mile widziane. Ale kiedy doszłam do siebie, zorientowałam się, że wcale nie chodziło o to: był to podarunek. Ktoś, jakiś inny ocalały, musiał nas

obserwować. Musiał zauważyć, jak rozpaczliwie wyglądałyśmy i w akcie miłosierdzia podarował nam swą zdobycz, nasz pierwszy posiłek, wystarczająco dużo mięsa, by przeżyć kilka tygodni. Nie potrafię wyobrazić sobie, ile to musiało kosztować tego kogoś.

Pamiętam, jak wyszłam na zewnątrz, rozejrzałam się dookoła, w dół i w górę na zbocze, wypatrując między drzewami, oczekując, że nagle ktoś wyskoczy spomiędzy nich i mi pomacha. Ale nigdy się to nie stało. Widziałam jedynie drzewa i mimo, że czekałam kilka minut, słyszałam jedynie ciszę. Ale wiedziałam, tak po prostu, że ktoś mnie obserwuje. Wiedziałam, że są tu inni ludzie, starający się przetrwać tak samo, jak i my.

Od tamtej chwili czułam coś w rodzaju dumy, czułam, że stanowimy część milczącej społeczności odseparowanych, ocalałych osób, trzymających się na uboczu, niekomunikujących się ze sobą ze strachu, że nas ktoś zobaczy, obawiając się wystawić na widok jakiegoś łowcy niewolników. Przypuszczam, że właśnie dzięki temu przeżyli tak długo: nie zostawiając niczego przypadkowi, Na początku nie rozumiałam tego. Teraz jednak doceniam to. I choć od tamtej pory nigdy nikogo nie widuję, to nie czuję się tu sama.

Dzięki temu jestem też bardziej czujna; pozostali ocaleni, jeśli jeszcze żyją, z pewnością przymierają głodem i są równie zdesperowani, jak my. Zwłaszcza, kiedy nadchodzą zimowe miesiące. Kto wie, czy głód, czy konieczność utrzymania rodziny nie zmusiła ich do przekroczenia granicy, za którą tylko rozpacz tłumaczy ich czyny, czy ich hojny czyn nie

został zastąpiony instynktem przetrwania w najczystszej postaci. Wiem, że myśl o przymieraniu głodem Bree, Sashy i mnie czasami doprowadzała do rozpacz. Nie zostawię zatem niczego przypadkowi. Przeprowadzimy się nocą.

Co i tak idealnie się składa. Cały ranek zejdzie mi na wspinaczkę z powrotem do chaty i zwiadzie całego otoczenia, by upewnić się ostatecznie, że nikogo tam ostatnio nie było. Muszę też wrócić w to miejsce, gdzie widziałam jelenia i zaczekać, aż znów się pojawi. Wiem, że to trudne przedsięwzięcie, ale jeśli go znajdę i zabiję, to będę miała czym nas wykarmić przez wiele tygodni. Pierwszego jelenia, którego zesłał nam los, zmarnowałam, gdyż nie wiedziałam, jak obdrzeć go ze skóry, poćwiartować, ani jak go przechować. Narobiłam bałaganu i zdołałam wycisnąć z niego tylko jeden posiłek zanim cały zewłok zdążył zgnić. Było to okropne marnotrawstwo jedzenia i postanowiłam, że już nigdy do tego nie dopuszczę. Tym razem, zwłaszcza ze względu na śnieg, znajdę sposób, by zakonserwować mięso.

Sięgam do kieszeni i wyciągam nóż, który dostałam od taty zanim odszedł; pocieram wysłużony trzonek z wygrawerowanymi inicjałami, przyozdobionymi symbolem Piechoty Morskiej, jak to mam w zwyczaju robić każdej nocy od momentu, kiedy tu przybyliśmy. Powtarzam sobie, że tata wciąż żyje. Pomimo upływu tylu lat, mimo, iż wiem, że szanse na powtórne zobaczenie go są niemal równe zeru, nie potrafię przestać o tym myśleć.

Każdej nocy żałuję, że tata odszedł, że w ogóle zgłosił się dobrowolnie na wojnę. Po pierwsze, była zwyczajnie idiotyczna. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, w jaki sposób się zaczęła. Tata wyjaśniał mi to kilka razy, a mimo to wciąż do mnie nie docierało. Być może powodem tego był mój wiek. Może nie byłam wystarczająco dojrzała, by zrozumieć, jak bezsensowne rzeczy ludzie potrafią robić sobie nawzajem.

Z tego, jak tłumaczył to tata wynikało, że była to druga amerykańska wojna domowa – tym razem jednak nie pomiędzy Północą i Południem, ale między partiami politycznymi. Między Demokratami i Republikanami. Twierdził, że już od dłuższego czasu zapowiadało się na nią. Przez ostatnie sto lat Ameryka dryfowała w stronę krainy dwóch narodów: ludzi popierających skrajną prawicę i tych trzymających stronę skrajnej lewicy. Z biegiem czasu, ich stanowiska stały się tak zatwardziałe, że powstał naród dwóch opozycyjnych ideologii.

Tata powiedział, że ludzie lewicy, Demokraci, chcieli, by krajem kierował coraz liczniejszy rząd, ten, który podniósł podatki do siedemdziesięciu procent i mógł ingerować w każdy aspekt ludzkiego życia. Powiedział też, że ci z prawicy, Republikanie, chcieli ustawicznie zmniejszać liczebność rządu i znieść podatki jako takie, dać ludziom wolny wybór i pozwolić im radzić sobie na własną rękę. Twierdził, że z czasem te dwie ideologie zamiast osiągnąć jakiś kompromis, coraz bardziej oddalały się od siebie, popadając w jeszcze większą skrajność – aż do chwili, kiedy osiągnęły stan, w którym nie potrafiły

podzielać stanowiska odnośnie niczego.

Twierdził, że sytuację pogorszył dodatkowo fakt, iż Amerykę zamieszkiwało zbyt wielu ludzi i politykom trudno było dotrzeć do świadomości ogółu. Politykierzy obu partii zaczęli uzmysławiać sobie, że zajęcie skrajnego stanowiska jest jedynym sposobem na zwrócenie na siebie uwagi społeczeństwa – dzięki czemu mogli realizować własne ambicje.

W rezultacie, prominentni działacze obu partii stali się tymi najbardziej skrajnymi, próbującymi prześcignąć się nawzajem, zajmującymi stanowiska, w istnienie których sami tak naprawdę nie wierzyli, a w których prezentowanie zostali zapędzeni przez ogół. Oczywiście, kiedy dochodziło do debaty, potrafili jedynie ścierać się ze sobą – i robili to, używając coraz ostrzejszych słów. Na początku były to wyzwiska i osobiste animozje. Lecz z upływem czasu słowna wojna nasilała się coraz bardziej. Pewnego dnia przekroczyła linię, zza której nie było już powrotu.

Pewnego dnia, około dziesięć lat temu, nadszedł brzemienny w skutki moment, który przechylił szalę, kiedy jeden przywódca polityczny pogroził drugiemu słowem: secesja. Jeśli Demokraci spróbują podnieść podatki choć o jeden cent, jego partia wystąpi z unii i każda wioska, każde miasto, każdy stan rozpadnie się na dwie części. Ale nie pod względem terytorialnym, a ideologicznym.

Jego wyczucie czasu nie mogło być gorsze: w tamtym czasie kraj doświadczał gospodarczej zapaści rodzącej wielu malkontentów, ludzi mających dość utraty pracy,

k którzy przysporzyli mu jedynie większego poparcia. Media uwielbiały jego wskaźniki popularności i ofiarowały mu coraz więcej czasu na antenie. Jego popularność wkrótce wzrosła. Ostatecznie, wobec braku kogokolwiek, kto mógłby go powstrzymać, wobec braku chęci Demokratów do zawarcia porozumienia, wykorzystując rozpęd propagandy, jego pomysł utrwalił się w świadomości decydentów. Jego partia zaproponowała własną flagę, a nawet własną walutę swojej części kraju.

Był to pierwszy z punktów zwrotnych. Gdyby ktoś wtedy po prostu wystąpił przed szereg i go powstrzymał, może nie doszłoby do tego wszystkiego. Ale nikt tego nie zrobił. Więc polityk posunął się jeszcze dalej.

Rozzuchwalony zaproponował, aby nowo powstały związek posiadał własne oddziały policji, własne sądownictwo, policję stanową – i własne siły zbrojne. To był drugi punkt zwrotny.

Gdyby wywodzący się z Demokratów prezydent wykazał się wówczas przywódczą charyzmą, może powstrzymałby to wszystko w tamtym momencie. Ale on tylko pogorszył sprawę, podejmując złe decyzje, jedna po drugiej. Zamiast postarać się załagodzić sytuację, odpowiedzieć na podstawowe potrzeby, które doprowadziły do tak dużego niezadowolenia, postanowił stłumić to, co nazwał „buntem”, zajmując twarde stanowisko: i oskarżył władze Republikanów o podburzanie społeczeństwa. Ogłosił stan wyjątkowy i w środku nocy wszystkich wtrącono do aresztu.

To tylko doprowadziło do eskalacji konfliktu i mobilizacji całej partii. Postawiło też na nogi połowę wojska. Międzyludzkie podziały zaczęły krystalizować się w każdym domu, każdym mieście, wszystkich koszarach; na ulicach powoli narastało napięcie. Sąsiedzi zaczęli nienawidzić siebie nawzajem. Nawet rodziny nie uniknęły podziału.

Pewnej nocy, dowódca armii sprzyjający Republikanom wykonali tajne rozkazy i przeprowadzili zamach stanu, uwalniając ich z więzienia. Nastąpił impas. Pierwszy brzemienny w skutki strzał padł na stopniach Kapitolu. Młody żołnierz sądził, iż widzi, jak jakiś oficer sięga po broń i strzelił pierwszy. Kiedy już poległ pierwszy żołnierz, nie było odwrotu. Przekroczono ostateczną granicę. Amerykanin zabił Amerykanina. W następstwie wymiany ognia zginęły tuziny oficerów. Władze Republikanów przetransportowano natychmiast w tajne miejsce. I właśnie wtedy doszło do podziałów. Rozłam dotknął całe wojsko. Jego los podzielił rząd. Później wszystkie miasta, wsie, hrabstwa i stany. Nazwano to Pierwszą Falą.

W pierwszych kilku dniach sztab kryzysowy i rządowe frakcje starały się rozpaczliwie przywrócić pokój. Ale na niewiele się to zdało i było już za późno. Nic nie było w stanie powstrzymać nadciągającej nawałnicy. Sprawy przejęła w swoje ręce grupa generałów preferujących rozwiązanie militarne, pragnących chwały, laurów pierwszeństwa na wojnie, chcących wykorzystać element szybkości i zaskoczenia. Doszli do przekonania, że

natychmiastowe zduśnienie opozycji jest jedynym sposobem, by wszystko zakończyć.

Rozpoczęła się wojna. Na Amerykańskiej ziemi rozgorzały bitwy. Pittsburgh został nowym Gettysburgiem, kiedy jego dwieście tysięcy mieszkańców straciło życie w przeciągu jednego tygodnia. Czołgi wyjechały naprzeciw czołgom. Samoloty przeciwko samolotom. Z każdym następnym dniem, każdym tygodniem przemoc szerzyła się coraz bardziej. Powstawały sztuczne granice, oddziały policyjne i wojskowe stanęły po obu ich stronach i w każdym stanie dochodziło do walki. Walczył każdy z każdym, wszędzie w całym kraju, przyjaciel z przyjacielem, brat z bratem. Doszło nawet do tego, że nikt już nie wiedział, o co walczy. Cały kraj broczył krwią i nikt nie potrafił tego powstrzymać. Była to tak zwana Druga Fala.

Do tej chwili jednak, choć popłynęło dużo krwi, była to wciąż wojna prowadzona metodami konwencjonalnymi. Lecz potem nadeszła Trzecia Fala, najgorsza ze wszystkich. Pełniący swe obowiązki z ukrytego bunkra prezydent, w akcie rozpaczyny podjął decyzję, mającą na celu zdławienie tego, co wciąż uparcie nazywał „buntem”. Wezwał swych najlepszych oficerów, którzy doradzili mu, aby skorzystał z najsilniejszego atutu i raz na zawsze położył kres buntowi: kierowanych pocisków z ładunkiem atomowym. Prezydent wyraził zgodę.

Następnego dnia zrzucono atomowe ładunki wybuchowe na strategiczne bastiony Republikanów w całych Stanach. W

miejscach takich jak Nevada, Texas i Mississippi życie straciły setki tysięcy ludzi. Nazajutrz zginęły miliony następnych.

Republikanie odpowiedzieli na ten atak. Wykorzystali własne zaplecze, w urzędzonej zasadzce przejęli NORAD i wystrzelili własne pociski w bastiony Demokratów. Stany Maine i New Hampshire w większości strawił ogień. W przeciągu następnych dziesięciu dni niemal wszystkie stany, i ich miasta jedno po drugim, uległy zagładzie. Przez kraj przetaczały się fale spustoszenia. Ci, którzy nie zginęli w bezpośrednim natarciu, wkrótce umarli z powodu toksycznego powietrza i zatrutej wody. Po miesiącu nie było już nawet z kim walczyć. Ulice i domy opustoszały w miarę, jak wyciągano z nich ludzi, by walczyli przeciwko byłym sąsiadom.

Tata nie czekał jednak na powołanie – i dlatego go nienawidzę. Opuścił nas dużo wcześniej zanim to się zaczęło. Przez dwadzieścia lat był oficerem Piechoty Morskiej i dostrzegł, co się święci dużo wcześniej niż inni. Za każdym razem, kiedy oglądał wiadomości, kiedy widział dwóch wydzierających się na siebie w nieprzyzwoity sposób polityków, podwyższających co chwila stawkę, kręcił głową i mówił

– Wierzcie mi. To tylko doprowadzi do wojny.

I miał rację. Jak na ironię, tata odbył już swoją służbę i przeszedł na emeryturę całe lata wcześniej, zanim to się stało, ale kiedy padł pierwszy strzał, tamtego dnia, zaciągnął się z powrotem. Zanim jeszcze ktokolwiek wspomniał o wojnie. Był prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, który zgłosił się na

ochotnika na wojnę, która nawet jeszcze nie wybuchła.

I z tego powodu jestem wciąż na niego wściekła. Dlaczego musiał to zrobić? Dlaczego po prostu nie pozwolił, by wszyscy wokoło pozabijali się nawzajem? Dlaczego nie został w domu by nas chronić? Dlaczego troszczył się bardziej o swój kraj, niż o swoją rodzinę?

Wciąż pamiętam jak żywo ten dzień, kiedy odszedł. Wróciłam ze szkoły i zanim zdążyłam otworzyć drzwi, usłyszałam dochodzące z wewnątrz krzyki. Zebrałam się w sobie. Nienawidziłam, kiedy mama z tatą kłócili się ze sobą, a robili to wydawałoby się bezustannie, więc pomyślałam, że to kolejna ich sprzeczka.

Otworzyłam drzwi i od razu zorientowałam się, że coś jest inaczej. Że coś jest naprawdę bardzo, bardzo nie tak. Tata stał ubrany w mundur, co nie miało żadnego sensu. Nie nosił go od lat. Dlaczego miałby go teraz założyć?

– Nie jesteś mężczyzną! – krzyczała na niego mama. – Jesteś tchórzem! Który porzuca swoją rodzinę! I po co? Aby iść zabijać niewinnych ludzi?

Twarz taty poczerwieniała jak zwykle, kiedy się denerwował.

– Nie wiesz, o czym mówisz! – odkrzyknął. – Spełniam swój obywatelski obowiązek. Robię to, co słuszne.

– Słuszne? Dla kogo? – odwarknęła. – Nawet nie wiesz, o co walczysz. I to dla garstki zidiociałych polityków?

– Wiem doskonale, o co walczę: by utrzymać naród w jedności.

– Cóż, wybacz mi, Mister Ameryka! – wrzasnęła do niego.
– Możesz to sobie tłumaczyć, jak chcesz, ale prawda jest taka, że odchodzisz, gdyż nie możesz mnie ścierpieć. Ponieważ nigdy nie potrafiłeś zadbać o rodzinę. Ponieważ jesteś zbyt głupi, aby zrobić coś ze swoim życiem po wojsku. I kiedy tylko pojawia się okazja, zrywasz się na nogi i uciekasz...

Tata powstrzymał ją, wymierzając jej mocny policzek. Wciąż słyszę ten dźwięk w mojej głowie.

Byłam zdumiona; nigdy nie widziałam, żeby choć raz dotknął ją palcem. Poczułam, jak mnie zatkało, jakbym to ja została uderzona. Wpatrywałam się w niego i niemal nie mogłam go poznać. Czy to naprawdę był mój ojciec? Byłam tak bardzo zaszokowana, że upuściłam książkę, a ta wylądowała na podłodze z głuchym odgłosem.

Odwrócili się oboje i spojrzeli na mnie. Było mi wstyd. Odwróciłam się, popędziłam korytarzem do mojego pokoju i zatrzasnęłam drzwi. Nie wiedziałam, jak zareagować na to wszystko. Musiałam po prostu od nich uciec.

Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Brooke, to ja – powiedział łagodnym, pełnym skruchy głosem tata. – Przykro mi, że musiałaś to oglądać. Wpuść mnie, proszę.

– Odejdź! – wrzasnęłam.

Nastała długa chwila ciszy. Lecz on wciąż stał przy drzwiach.

– Brooke, muszę już iść. Chciałbym zobaczyć cię po raz ostatni, zanim odejdziesz. Proszę, wyjdź i pożegnaj się ze mną.

Zaczęłam płakać.

– Odejdź! – odburknęłam. Byłam taka wstrząśnięta, tak na niego wściekła za to, że uderzył mamę, a nawet jeszcze bardziej za to, że nas opuszczał. Głęboko w sercu obawiałam się również, że już nigdy nie wróci.

– Idę, Brooke – powiedział. – Nie musisz otwierać drzwi. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocham. I że zawsze będę z tobą. Pamiętaj, Brooke, jesteś tą twardszą. Zajmij się rodziną. Liczę na ciebie. Dbaj o nich.

A potem usłyszałam kroki ojca, jak odchodził, jak cichły coraz bardziej i bardziej. Chwilę później usłyszałam, jak drzwi wejściowe otworzyły się i potem zamknęły.

I potem nic.

Kilka minut – trwających zdawałoby się kilka dni – później powoli otworzyłam drzwi. Natychmiast to wyczułam. Już go nie było. I zaczęłam żałować; chciałam móc pożegnać się z nim. Ponieważ przeczuwałam, głęboko w sercu, że już nigdy nie wróci.

Mama siedziała przy kuchennym stole z twarzą skrytą w dłoniach i cicho płakała. Wiedziałam, że tego dnia wszystko uległo zmianie już na zawsze, że już nigdy nie miało być tak samo – że *ona* już nigdy nie będzie taka sama. I że ja również nie.

I miałam rację. Kiedy tu teraz siedzę, wpatrując się w przygasający żar ognia, powieki ciążą mi ze zmęczenia, zdaję sobie sprawę, że od tamtego dnia nic już nigdy nie było takie samo.



Stoję w naszym starym mieszkaniu na Manhattanie. Nie wiem, co tu robię, ani jak tu trafiłam. Nic nie ma sensu, gdyż mieszkanie ani trochę nie przypomina tego z moich wspomnień. Jest całkiem pozbawione mebli, jakbyśmy nigdy tam nie mieszkali. Jestem sama.

Nagle odzywa się pukanie do drzwi i do środka wchodzi tata ubrany w mundur i z walizką w dłoni. W jego oczach widzę puste spojrzenie, jakby właśnie wrócił z piekła.

– Tatusiu! – próbuję krzyknąć. Ale z mych ust nie wydobywają się słowa. Spoglądam w dół i zauważam, iż jestem przyklejona do podłogi i ukryta za ścianą, i że mnie nie widzi. Choć staram się bardzo uwolnić, podbiec do niego, zawołać go, nie mogę. Jestem zmuszona bezradnie patrzeć, jak wchodzi do pustego mieszkania i rozgląda się wokół.

– Brooke? – woła. – Jesteś tu? Jest ktoś w domu?

Próbuję odpowiedzieć, ale mój głos znów zamiera. Tata przeszukuje kolejne pokoje.

– Mówiłem, że wrócę – oznajmia. – Dlaczego nikt na mnie nie czekał?

Potem wybucha płaczem.

Serce mi pęka. Staram się ze wszystkich sił zawołać go, ale bez względu na moje wysiłki, nie mogę wydusić z siebie żadnego dźwięku.

W końcu tata odwraca się i wychodzi z mieszkania, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Szczęk klamki odbija się echem w pustym pomieszczeniu.

– TATO! – krzyczę, odzyskawszy wreszcie głos.

Ale jest już za późno. Wiem, że odszedł już na zawsze, że w jakiejś mierze ponoszę za to winę.

Przymykam powieki i następane, co wiem, to, że znajduję się z powrotem w górach, w domku taty, siedząc w jego ulubionym fotelu przy kominku. Tata siedzi na kanapie, nachylając się do przodu, z nisko zwieszoną głową, bawiąc się swym wojskowym nożem. Z przerażeniem stwierdzam, że połowa jego twarzy stopiła się aż do samej kości. W zasadzie to widzę połowę jego czaszki.

Podnosi na mnie wzrok. Zaczynam się lękać.

– Nie możesz ukrywać się tu wiecznie, Brooke – mówi miarowym tonem. – Myślisz, że jesteś tu bezpieczna. Ale oni przyjdą po ciebie. Zabierz Bree i ukryjcie się.

Wstaje na nogi, podchodzi do mnie, chwyta za ramiona i potrząsa, spoglądając intensywnym wzrokiem. – SŁYSZAŁAŚ, ŻOŁNIERZU!? – krzyczy.

Znika i w tym samym momencie wszystkie drzwi i okna otwierają się naraz z hukiem w wielkiej kakofonii rozbijanego szkła.

Do domu wpada tuzin łowców niewolników z bronią w dłoni. Są ubrani, od stóp do głów, w specjalne, czarne mundury, noszą czarne maski na twarzy i zaglądają w każdy kąt. Jeden z nich porywa Bree z kanapy i wrzeszcząc na cały głos gdzieś wynosi,

podczas gdy drugi podbiega do mnie, wbija mi palce w ramię i mierzy bronią w twarz.

Strzela.

Budzę się z krzykiem, całkiem dezorientowana.

Czuję palce zaciśnięte na ramieniu. Mam mętlik w głowie, nie wiedząc, co jest snem, a co jawą. Jestem gotowa zaatakować. Oglądam się i widzę, że to Bree. Stoi tam i potrząsa moją rękę.

Wciąż siedzę w fotelu taty, tylko że teraz pokój tonie w słonecznym świetle. Bree zanoszą się histerycznym szlochem.

Mrugam powiekami i podnoszę się w fotelu, starając się zorientować w sytuacji. Czy to wszystko było tylko snem? Sprawiało wrażenie takiego rzeczywistego.

– Miałam straszny sen! – Ika Bree, wciąż ściskając moje ramię.

Oglądam się za siebie i widzę, że ogień zgasł już wiele godzin temu. Widzę jaskrawe słoneczne światło i uświadamiam sobie, że musi już być późny ranek. Nie mogę uwierzyć, że zasnęłam w fotelu – nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się to.

Potrząsam głową, starając się pozbyć resztek snu. Ten sen wydawał się taki prawdziwy; aż dziw, że jednak to się nie stało. Śniłam już wcześniej o tacie, wiele razy, ale nigdy aż tak bezpośrednio. Ciężko mi pojąć, że nie ma go tu teraz ze mną w pokoju, i rozglądam się znów wokół tak tylko, aby się upewnić.

Bree szarpie mnie za rękę, wciąż nieukojoną. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

Klękam i biorę ją w ramiona. Przywiera do mnie.

– Śniło mi się, że przyszli jacyś źli ludzie i mnie zabrali! I nie

było cię tu, by mnie uratować! Płacze na moim ramieniu.

– Nie odchodź! – błaga histerycznym głosem. – Proszę, nie idź. Nie zostawiaj mnie!

– Nigdzie nie idę – mówię, przyciskając ją mocniej. – Ciii... już w porządku... Nie ma się czym martwić. Wszystko w porządku.

Jednak głęboko w sercu nie mogę oprzeć się uczuciu, że nic *nie* jest w porządku. Wprost przeciwnie. Mój sen naprawdę wzbudza niepokój, a to, że Bree miała równie zły sen – i to o tym samym – nie daje mi wielkiej pociechy. Nie wierzę zbyt w jakieś omamy, jednak nie potrafię przestać myśleć, czy to, aby nie jest znak. Ale nie słyszę żadnego dźwięku, żadnego hałasu, a gdyby pojawił się tu ktoś w obrębie mili, z pewnością wiedziałabym o tym.

Podnoszę podbródek Bree i wycieram jej łzy.

– Weź głęboki oddech – mówię.

Bree posłusznie nabiera powoli powietrza. Zmuszam się, by się uśmiechnąć.

– Widzisz – mówię. – Jestem tu z tobą. Nic złego się nie dzieje. To był tylko zły sen. W porządku?

Powoli Bree przytakuje skinieniem głowy

– Jesteś po prostu przemęczona – mówię. – I masz gorączkę. Stąd te złe sny. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy tak klęczę i obejmuję Bree, dochodzi do mnie, że powinnam zabrać się do pracy, wejść na górę, przeszukać nasz nowy dom i znaleźć jedzenie. Żołądek podchodzi mi do gardła,

kiedy rozważam przekazanie tych wieści Bree, obawiając się jej reakcji. Nie mogłam trafić na gorszy moment. Jak miałabym jej teraz powiedzieć, że muszę ją tu zostawić? Choćby tylko na godzinę, czy dwie? Właściwie sama chcę tu zostać, czuwać nad nią przez cały dzień; ale wiem też, że muszę iść i im wcześniej przez to przejdę, tym szybciej będziemy bezpieczne. Nie mogę tak po prostu siedzieć cały dzień i nic nie robić, czekając aż zapadnie zmrok. Nie mogę ryzykować zmiany planu i przenieść nas za dnia tylko z powodu naszych głupich snów.

Odsuwam Bree od siebie, odgarniając jej włosy z twarzy i uśmiechając się do niej jak najmilej potrafię. Przybieram najpoważniejszy, najbardziej dorosły ton głosu.

– Bree, musisz mnie wysłuchać – mówię do niej. – Muszę teraz wyjść, tylko na małą chwilę...

– NIE! – zawodzi. – WIEDZIAŁAM! Jest tak, jak w moim śnie! Zostawisz mnie! I nigdy nie wrócisz!

Trzymam mocno jej ramiona, próbując dodać jej otuchy.

– Wcale tak nie jest – mówię zdecydowanym głosem. – Muszę wyjść tylko na godzinę lub dwie. Muszę upewnić się, że nasz nowy dom jest bezpieczny, abyśmy mogły przeprowadzić się do niego tej nocy. I muszę zapolować. Proszę, Bree. Zrozum. Zabrałabym cię ze sobą, ale jesteś jeszcze zbyt chora i musisz wypoczywać. Wrócę za kilka godzin. Obiecuję. A potem, w nocy, razem tam wejdziemy. A wiesz, co w tym jest najlepsze?

Powoli podnosi na mnie wzrok, wciąż płacząc, i w końcu potrząsa głową.

– Począwszy od tej nocy, będziemy tam razem, całe i zdrowe, i każdego wieczoru będziemy rozpalać ogień i jeść wszystko, czego zapragniesz. Mogę tam polować, łowić i robić wszystko, co trzeba wprost przed chatą. Nigdy już nie będę musiała cię zostawić.

– Sasha też może iść? – pyta przez łyzy.

– Sasha również – mówię. – Obiecuję. Proszę, uwierz mi. Wrócę po ciebie. Nigdy cię nie opuszczę.

– Obiecujesz? – pyta.

Zdobywam się na najwyższą powagę i spoglądam na nią śmiertelnie poważnym wzrokiem.

– Obiecuję – odpowiadam.

Bree powoli przestaje płakać i w końcu przytakuje skinięciem głowy, wyglądając na zadowoloną.

Z pękającym sercem nachylam się i składam pocałunek na jej czole, po czym wstaję, przechodzę przez pokój i wychodzę drzwiami. Wiem, że gdybym została jeszcze sekundę dłużej, nigdy już nie zdobyłabym się na decyzję, by wyjść.

I kiedy drzwi zamykają się za mną dźwięcznie, nie mogę otrząsnąć się ze straszego przeczucia, że już nigdy więcej nie zobaczę swojej siostry.

TRZY

Wspinam się stromo pod górę w jaskrawym, słonecznym świetle, odbijającym się intensywnie od śniegu. Świat okrył się bielą. Słońce świeci tak ostro, że ledwie cokolwiek dostrzegam. Oddałabym wszystko za okulary przeciwsłoneczne lub czapkę baseballową.

Dzisiaj jest na szczęście bezwietrznie, cieplej niż wczoraj, i kiedy się wspinam, wszędzie wokół słyszę topniejący śnieg, sączący się niewielkimi strużkami w dół zbocza i opadający wielkimi grudami z gałęzi sosen. Śnieg jest również bardziej miękki i łatwiej jest po nim stąpać.

Sprawdzam ponad ramieniem, przeczesując wzrokiem rozpostartą przede mną w dole dolinę i widzę, że w porannym słońcu drogi są znów częściowo widoczne. To mnie martwi, ale potem besztam samą siebie ze złości, że pozwalam, by rozpraszały mnie jakieś omamy. Powinnam być twardsza. Bardziej racjonalna, tak jak tata.

Mam podniesiony kaptur, lecz kiedy schylam głowę przed wiatrem, który wieje coraz silniej, im wyżej się znajduję, żałuję, że nie wzięłam ze sobą nowego szalika. Zaciskam dłonie w kułak i rozcieram je, żałując, że nie mam również rękawiczek. Podwajam tempo. Jestem zdecydowana dotrzeć tam szybko, zrobić zwiad w chacie, poszukać jelenia i wrócić szybko do Bree. Może uda mi się również zdobyć kilka kolejnych słoików

z dżemem; poprawią nastrój Bree.

Idę po moich wczorajszych śladach wciąż widocznych w topniejącym śniegu. Tym razem wspinaczka nie jest taka trudna. Po około dwudziestu minutach docieram w miejsce, w którym byłam poprzedniego dnia, okrążając najwyżej położony płaskowyż.

Jestem pewna, że jestem w tym samym miejscu, co wczoraj, ale kiedy szukam wzrokiem chaty, nie mogę jej znaleźć. Jest tak dobrze schowana, że mimo, iż wiem, gdzie patrzeć, nie widzę jej. Zaczynam zastanawiać się, czy jestem we właściwym miejscu. Idę dalej po swoich śladach, aż w końcu docieram dokładnie do punktu, w którym wczoraj stałam. Wyciągam szyję i wreszcie ją dostrzegam. Jestem zdumiona tym, jak dobrze jest ukryta i czuję jeszcze większą chęć, by tu zamieszkać.

Stoję i nasłuchuję. Poza odgłosem sączących się z wolna strumyków panuje idealna cisza. Uważnie sprawdzam śnieg, szukając jakichkolwiek śladów poza moimi, które mógł tu ktoś od wczoraj pozostawić. Nie znajduję żadnych.

Podchodzę do drzwi, stoję przed domem i obracam się o trzysta sześćdziesiąt stopni, lustrując okoliczne lasy, sprawdzając drzewa, szukając jakichkolwiek anomalii, jakiegokolwiek dowodu na to, że był tu ktoś jeszcze. Stoję przez przynajmniej minutę i nasłuchuję. Nic. Kompletnie nic.

W końcu jestem usatysfakcjonowana i czuję ulgę na myśl, że to miejsce naprawdę należy do nas i tylko do nas.

Pociągam za ciężkie drzwi przywalone śniegiem i wewnątrz

zalewa jasne światło. Kiedy schylam głowę i wchodzę do środka, czuję się, jakbym widziała je po raz pierwszy w dziennym świetle. Jest tak samo niewielkie i przytulne, jak je zapamiętałam. Zauważam, że na podłodze leżą oryginalne szerokie deski, które wyglądają, jakby miały ze sto lat. Panuje tu cisza. Niewielkie okna po obu stronach chaty również wpuszczają całkiem pokaźną ilość światła.

Przechesuję pokój wzrokiem w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłam wcześniej przeoczyć – ale nic nie znajduję. Spuszczam wzrok i dostrzegam uchwyt od kłapy, klękam i ciągnę ją w górę. Otwiera się, wzbijając wiry kurzu unoszącego się w rozjaśnionym słońcem powietrzu.

Schodzę po drabinie i tym razem, dzięki odbijającemu się światłu, mam przed sobą o wiele wyraźniejszy widok ukrytych tu zapasów. Całych setek słoików. Dostrzegam kilka kolejnych z malinowym dżemem i chwytam dwa, wciskając po jednym do kieszeni. Bree będzie wniebowzięta. Sasha również.

Przełądam pobieżnie pozostałe słoiki i widzę, że zawierają różnego rodzaju zaprawy: pikle, pomidory, oliwki, kiszoną kapustę. Znajduję też dżemy w kilku różnych smakach, przynajmniej po tuzinie z każdego. Jeszcze więcej znajduje się z tyłu, ale nie mam czasu, by przyjrzeć się im uważnie. Myśl o Bree ciąży mi przez cały ten czas.

Wspinam się po drabinie, zamykam klapę i pospiesznie wychodzę z chaty, zamykając za sobą starannie drzwi. Przystaję i ponownie lustruję otoczenie, gotowa zareagować na widok

kogokolwiek, kto mógłby mnie teraz obserwować. Wciąż żywię obawę, że to wszystko jest zbyt piękne, by było prawdą. Lecz kolejny raz okazuje się, że nikogo tam nie ma. Może po prostu jestem ostatnio zbyt zestresowana.

Ruszam w kierunku miejsca, w którym wczoraj widziałam jelenia, jakieś trzydzieści jardów dalej. Kiedy tam docieram, wydaję nóż myśliwski taty i trzymam go przy boku. Wiem, że szanse na zobaczenie go tam ponownie są mocno przesadzone, ale może te zwierzę tak samo jak ja ma swoje przyzwyczajenia. Nie ma mowy, żebym była na tyle szybka, by je dogonić, czy choćby skoczyć mu na grzbiet – nie mam też pistoletu, ani żadnej prawdziwej broni myśliwskiej. Ale mam jedną szansę i tą szansą jest nóż. Zawsze szczyciłam się swoją umiejętnością trafienia w środek tarczy ustawionej trzydzieści jardów dalej. Rzucanie nożem było moją jedyną umiejętnością, dla której tata zawsze nie mógł wyjść z podziwu – był na tyle pod wrażeniem, że nigdy nie próbował nawet mnie poprawiać, czy doskonalić. Zaslugę natomiast przypisywał sobie, twierdząc, że to jemu zawdzięczałam mój talent. W rzeczywistości, nie potrafił rzucać nożem choćby w połowie tak dobrze jak ja.

Klękam w miejscu, w którym byłam wczoraj, chowając się za drzewem, obserwując płaskowyż, trzymając nóż w dłoni i czekając. I modląc się. Słyszę jedynie odgłos szumiącego wiatru.

Powtarzam w myślach, co zrobię, jeśli zobaczę jelenia: wstanę powoli, wyceluję i rzucę nóż. Najpierw myślę, że rzucę w oko, ale potem postanawiam trafić w gardło: jeśli chybię o kilka

cali, wciąż będzie istnieć szansa, że trafię w inną część ciała. Jeśli moje dłonie nie będą zbyt zmarznięte i wyceluję dokładnie, wówczas, być może zdołam je zranić. Ale wiem, że zbyt dużo tych jeśli.

Mijają minuty. Mam wrażenie, że minęło dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści.... Wiatr zamiera i za chwilę powraca w podmuchach. W tym samym momencie czuję, jak płatki śniegu zdmuchiwane z drzew opadają wprost na moją twarz. Wraz z upływającym czasem robi mi się zimno, coraz bardziej drętwieję i zaczynam zastanawiać się, czy aby to nie jest zły pomysł. Czuję jednak kolejne ostre ukłucie głodu i wiem, że muszę spróbować. Moje ciało będzie potrzebowało wszystkich dostępnych białek, by sprawnie przeprowadzić przeprowadzkę – zwłaszcza jeśli mam wepchnąć na górę ten motocykl.

Po niemal godzinie czekania czuję, że jestem przemarznięta do kości. Zastanawiam się, czy po prostu nie dać sobie spokoju i nie wrócić z powrotem na dół. Może zamiast tego powinnam znowu spróbować coś złowić.

Postanawiam wstać i pochodzić w kółko, by rozruszać kości i przywrócić zwinność palcom; gdybym próbowała użyć ich w tej chwili, prawdopodobnie nie zdałyby się na nic. Kiedy podnoszę się na nogi, w kolanach i plecach odzywa się ból od zeszywnienia. Zaczynam dreptać w śniegu, stawiając na początku małe kroki. Podnoszę i uginam kolana, wyginam plecy na lewo i prawo. Zatykam nóż z powrotem za pas, potem rozcieram dłonie jedna o drugą, dmuchając na nie, próbując

przywrócić w nich czucie.

Nagle, nieruchomieję. W oddali pęka gałązka i wyczuwam jakiś ruch.

Powoli odwracam się. Na szczycie wzgórza, w zasięgu mojego wzroku, pojawia się jeleni. Stąpa powoli, ostrożnie po śniegu, delikatnie podnosząc kopyta i je opuszczając. Opuszcza głowę, przeżuwa liście, po czym robi kolejny krok do przodu.

Moje serce bije mocno z podekscytowania. Rzadko odczuwam obecność taty, ale dziś czuję, że właśnie jest przy mnie. Słyszę jego głos w głowie: *Spokojnie. Oddychaj powoli. Nie pozwól, by zwietrył, że tu jesteś. Skup się.* Jeśli uda mi się powalić to zwierzę, będziemy mieć jedzenie – prawdziwe – wystarczy dla Bree, Sashy i dla mnie przynajmniej na tydzień. *Potrzebujemy go.*

Wychodzi na polanę kilka kolejnych kroków i mogę przyjrzeć się mu lepiej: jest wielki. Stoi jakieś trzydzieści jardów ode mnie. Czułabym się znacznie pewniej, gdyby to było dziesięć jardów, lub nawet dwadzieścia. Nie wiem, czy zdołam trafić z tej odległości. Gdyby było cieplej i gdyby stał nieruchomo, wtedy tak, udałoby mi się. Ale moje dłonie są skostniałe, jeleni cały czas jest w ruchu, a po drodze jest tak wiele drzew. Po prostu nie wiem. Wiem za to, że jeśli chybię, nigdy więcej tu nie wróci.

Czekam i obserwuję uważnie, obawiając się go spłoszyć. Przywołuję go w myślach do siebie. Ale jakoś nie bardzo ma na to ochotę.

Zastanawiam się, co zrobić. Mogę runąć na niego, dostać się jak najbliżej i wtedy rzucić nóż. Ale to byłoby głupie:

pokonałabym za ledwie jeden jard i jeleni z pewnością rzuciłby się do ucieczki. Przychodzi mi na myśl, że może powinnam podkraść się do niego. Ale wątpię, czy to zda egzamin. Wystarczy najmniejszy hałas i jeleni czmychnie.

Stoję więc, rozważając różne opcje. Robię jeden niewielki krok do przodu, ustawiając się do rzutu w razie, gdyby zaszła taka potrzeba. I przez ten jeden mały krok popełniam błąd.

Pod moją stopą pęka gałązka i jeleni natychmiast podnosi głowę, i odwraca się do mnie. Nasze spojrzenia spotykają się. Wiem, że mnie widzi i że za chwilę ucieknie. Serce mi wali, bo wiem, że to moja ostatnia szansa. Wyłączam myślenie.

I wtedy ruszam z miejsca. Sięgam w dół, chwytam nóż, robię duży wykrok do przodu i, polegając na swych umiejętnościach, odchylam się i rzucam, celując w gardziel zwierzęcia.

Ciężki, wojskowy nóż taty obraca się w powietrzu, a ja modłę się, by nie uderzył w drzewo. Obserwując jego ruch, odbijające się w nim słońce, przekonuję się, iż to istne чудо. W tej samej chwili dostrzegam, jak jeleni odwraca się i próbuje uciekać.

Jest zbyt daleko, bym mogła zobaczyć, co dokładnie się tam dzieje, lecz chwilę później mogę przysiąc, że słyszę odgłos ostrza wbijającego się w ciało. Jeleni wystrzela do przodu i nie mogę stwierdzić, czy jest ranny.

Rzucam się w pogoń za nim. Docieram do miejsca, w którym był przed chwilą i z zaskoczeniem dostrzegam jasnoczerwoną krew na śniegu. Serce mi drży, pobudzone zachętą.

Biegnę śladem krwi coraz dalej, skacząc przez skały i po

około pięćdziesięciu jardach znajduję go: oto jest, leży na boku w śniegu, wierzgając nogami. Widzę nóż, który utkwiał w jego gardle. Dokładnie w miejscu, w które celowałam.

Jeleń żyje jeszcze, a ja nie wiem, jak skrócić jego męki. Czuję, jak cierpi i sama czuję się okropnie. Chcę zadać mu szybką i bezbolesną śmierć, ale nie wiem jak.

Kłękam i wyciągam nóż, potem nachylam się i jednym szybkim ruchem podcinam mu głęboko gardziel, mając nadzieję, że to wystarczy. Chwilę później tryska krew, a po około dziesięciu kolejnych sekundach nogi jelenia przestają w końcu wierzgać. Jego powieki również przestają drżeć i w końcu wiem, że nie żyje.

Stoję nad nim, spoglądając w dół, trzymając nóż w dłoni i czuję się przytłoczona poczuciem winy. Niczym barbarzyńca, który zabił tak piękne i bezbronne stworzenie. W tej jednej chwili z trudem przychodzi mi myśleć o tym, jak okropnie potrzebne jest nam to jedzenie, jakie wielkie szczęście miałam, że w ogóle udało mi się złapać jelenia. Mogę jedynie myśleć o tym, że jeszcze kilka minut temu oddychał, żył tak jak i ja. A teraz jest martwy. Spoglądam na niego leżącego idealnie nieruchomo w śniegu i wbrew sobie czuję wstyd.

I właśnie wtedy słyszę to pierwszy raz. Na początku lekceważę to, sądząc, że mi się coś przesłyszało, gdyż po prostu to jest niemożliwe. Ale po kilku chwilach dźwięk staje się nieco głośniejszy, bardziej wyraźny i już wiem, że jest prawdziwy. Serce zaczyna walić mi w piersi jak oszalałe, kiedy rozpoznaję

ten dźwięk. Słyszałam go tu jak dotąd tylko jeden raz. Zawodzenie silnika. Silnika samochodu.

Stoję oniemiała, zbyt przerażona, by się poruszyć. Silnik warczy coraz głośniejsze, coraz wyraźniej, a ja wiem, że może oznaczać tylko jedno. Łowców niewolników. Nikt inny nie śmiałyby zapuszczać się tak wysoko, ani nie ma powodu, by to robić.

Ruszam sprintem, pozostawiając jelenia za sobą, gnając przez las, mijając chatę i w dół zbiega. Wciąż zdaje mi się, że biegnę za wolno. Myślę o Bree, która siedzi tam w domu teraz sama, a odgłos silnika rośnie coraz bardziej i bardziej. Staram się przyspieszyć, zbiegając wprost w dół po ośnieżonym zboczu, potykając się i czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Biegnę tak szybko, że w pewnej chwili upadam twarzą w przód, ocierając kolano i łokieć, pozbawiając się tchu. Z trudem podnoszę się, zauważając krew na kolanie i ręce, ale nie dbam o to. Zmuszam się z powrotem do biegu, potem sprintu.

Ześlizgując się co chwilę, docieram w końcu na płaskowyż i stąd widzę całą drogę w dół do naszego domu. Serce skacze mi do gardła: w śniegu widnieją wyraźne ślady opon prowadzące prosto do naszego domu. Drzwi wejściowe są otwarte. A najbardziej złowieszczą rzeczą jest to, że nie słyszę szczekania Sashy.

Zbiegam, coraz niżej, przyglądając się w międzyczasie dwóm pojazdom zaparkowanym przed naszym domem: samochodom łowców. Całe czarne i zawieszane nisko nad ziemią wyglądają niczym podrasowane steroidami bolidy z potężnymi oponami

i kratami na każdym oknie. Ich maski zdobi emblemat Areny Jeden, rozpoznawalny nawet z tej odległości – diament z szakalem po środku. Przybyli tu, by zaopatrzyć arenę.

Puszczam się sprintem dalej w dół po zboczu. Muszę być lżejsza. Sięgam do kieszeni, wyciągam słoiki z dżemem i rzuca je na ziemię. Słyszę za sobą rozbijające się szkło, ale nie przejmuję się. Nic innego teraz się nie liczy.

Jestem ledwie sto jardów od domu, kiedy widzę, jak samochody ruszają i odjeżdżają. Kierują się z powrotem na krętą, wiejską drogę. Chcę mi się płakać, kiedy uświadamiam sobie, co się stało.

Trzydzieści sekund później docieram do domu i mijam go, kierując się wprost na drogę, mając nadzieję, że ich jeszcze złapię. Wiem, że dom jest już pusty.

Spóźniłam się. Ślady po oponach mówią same za siebie. Kiedy spoglądam w dół, dostrzegam je pół mili dalej, widzę jak przyspieszają. Nie ma mowy o tym, żeby doścignąć je na piechotę.

Biegnę z powrotem do domu, tak na wszelki wypadek, gdyby jakimś cudem Bree udało się ukryć, lub gdyby ją tu zostawili. Wpadam przez otwarte drzwi wejściowe i ze zgrozą patrzę na to, co tam zastaję: wszędzie jest krew. Na podłodze leży martwy łowca ubrany w czarny kombinezon, a z jego gardła płynie krew. Obok niego leży Sasha, na boku, martwa. Z rany, która wygląda jakby od kuli, cieknie krew. Jej kły wciąż tkwią w gardle łowcy. Wszystko staje się oczywiste: Sasha musiała próbować ocalić

Bree, skacząc na mężczyznę, kiedy wszedł do domu i zaciskając mu zęby na gardle. Pozostali musieli ją zastrzelić. A mimo to, nie puściła.

Przebiegam przez dom, pokój po pokoju, wykrzykując imię Bree, słysząc we własnym głosie rozpacz. Nie rozpoznaję już tego głosu: brzmi, jakby należał do szaleńca.

Wszystkie drzwi są jednak otwarte i nie ma tu nikogo.

Łowcy zabrali moją siostrę.

CZTERY

Stoję w salonie taty, będąc w szoku. Z jednej strony, zawsze obawiałam się, że ten dzień nadejdzie; a jednak teraz, kiedy już przyszedł, nie potrafię w to uwierzyć. Przytłacza mnie poczucie winy. Czy zdradził nas ogień rozpalony w kominku zeszłej nocy? Widzieli dym? Dlaczego nie mogłam być bardziej ostrożna?

Nienawidzę siebie również za to, że rano zostawiłam Bree samą – zwłaszcza, że nam obu przyśniło się coś niedobrego. Widzę jej twarz, słyszę, jak błaga, bym nie odchodziła. Dlaczego jej nie posłuchałam? Nie zaufałam instynktowi? Wracając do tego myślami, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tata rzeczywiście mnie ostrzegł. Dlaczego nie zwróciłam na to uwagi?

Nic z tego już nie ma znaczenia. Przystaję tylko na chwilę. Włączył się mój tryb działania. Za nic w świecie nie odpuszczę, nie pozwolę, by odeszła. Biegnę przez dom, nie chcąc stracić cennego czasu, by ruszyć w pogoń za łowcami i uratować Bree.

Podbiegam do ciała łowcy i oglądam je dokładnie: ma na sobie typowy, czarny wojskowy strój: czarne buty bojowe, czarny wojskowy mundur i czarną koszulę z długimi rękawami pod obcisłą kurtką typu bomber. Ma też wciąż na twarzy czarną maskę z insygniami Areny Jeden – znakiem rozpoznawczym łowcy – oraz niewielki czarny kask na głowie. Na niewiele dobrego to się zdało: Sasha i tak zdołała zatopić kły w jego gardle. Spoglądam na Saszę i jej widok aż mnie zatyka. Jestem

jej taka wdzięczna, iż stoczyła tę walkę. Czuję się winna, że i ją tutaj zostawiłam. Spoglądam na jej ciało i przyrzekam sobie, że po tym, jak sprowadzę tu Bree, wrócę i urządzę jej właściwy pochówek.

Szybko pozbawiam ciało łowcy wartościowych przedmiotów. Najpierw zdejmuję pas z bronią i zapinam go ciasno wokół własnej talii. Zawiera kaburę i krótką broń, którą wyciągam i szybko sprawdzam: naładowana i wydaje się w idealnym stanie. Jest niczym złoto – i teraz należy do mnie. Na pasie znajduje się też kilka zapasowych magazynków z amunicją.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.